

PARADA



ROK II

NIEDZIELA, 17 WRZEŚNIA 1944 R.
SUNDAY, SEPTEMBER 17, 1944

Nr 19 (38)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

Doniosłe słowa Naczelnego Wodza Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego i Dowódcy 2. Korpusu Generała Dywizji Władysława Andersa

Poniżej przytaczamy przemówienia Naczelnego Wodza Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego oraz Dowódcy 2. Korpusu Generała Dywizji Władysława Andersa — wygłoszone w czasie uroczystej dekoracji Generała Władysława Andersa Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari III Klasy oraz żołnierzy 2. Korpusu Orderem Virtuti Militari

NACZELNY WÓDZ MÓWI:

Stoją przede mną wybrani żołnierze Polski walczącej. Polski niezłomnej. Polski nieśmiertelnej. — Ci najmężniejsi spośród tylu mężnych, którzy sztandar biało-czerwony zatknęli na ruinach Monte Cassino, którzy w niewymownym trudzie bojowym zdobywali zbudowane ze stali i z betonu umocnienia wsi Piedimonte. Tam gruzy słynnego klasztoru, który przez tak liczne wieki świecił ludzkości niby pochodnia wiary żarliwej i był cichym przybytkiem, gdzie geniusz ludzki i mroźna praca braci zakonnych gromadziła skrzętnie skarby myśli, wiedzy i sztuki. Tu znów skromna wieś podgórska, zamieniona w prawdziwą fortecę, bronioną zaciekle przez najwybitniejsze, sfanatyzowane oddziały niemieckie. Obie nazwy, Monte Cassino i Piedimonte przeszły do historii, jako symbol cnoty żołnierskiej, ofiarności i poświęcenia bez granic, hartu ducha, nie znającego żadnych przeszkód na drodze do świętego celu.

Oto stoicie przede mną Wy, twórcy nowej legendy żołnierskiej, skupieni w jednym szeregu bez względu na godności, stopnie, wyznanie i pochodzenie — od księcia kościoła poprzez generałów, poprzez oficerów wszystkich broni i szczebli, aż do prostych, szarych żołnierzy, naszych najmłodszych i najdroższych braci. Zrównała Was wspólna sława i wspólna dla Sprawy zasługa, zrównał Was znak honoru i męstwa, który za chwilę na piersiach waszych zabłyśnie. Takimi są nasze żołnierskie prawa równości. Niebawem powiększyć macie zakon rycerski kawalerów orderu wojennego Virtuti Militari, zakon, którego kodeks zawarty jest w dwóch słowach ogromnych: Honor i Ojczyzna.

Przeżyliście godnie i mężnie kryzysy wielu bojów, ciężkie chwile, gdy nerwy ludzkie rwą się na strzępy, a serce wzburzone, niespokojne, najwyższym wysiłkiem woli na wodzy trzymać trzeba. I oto właśnie w dniu słusznej nagrody żołnierskiej, gdy radość płynąca z poczucia dobrze spełnionego obowiązku powinna być Waszym wyłącznym udziałem — los i przeznaczenie stawia przed Wami inne kryzysy, potężniejsze o wiele trudności. Kryzys sprawy polskiej, niby cień czarny i olbrzymi, spędza nam sen z powiek, przysięga duszę brzemieniem troski i niepokoju o przyszłość Narodu, o sens i koniec długiej wędrówki żołnierza polskiego.

Potrzebne są dalsze zasoby męstwa i odwagi, potrzebne są świeże źródła energii duchowej, o którą woła do Was Polska, z woli Stwórcy ponownie ukrzyżowana. Któż Polskę z krzyża zdejmie, jeśli nie Wy, najlepsi jej synowie, wierni żołnierze polscy, Wy, strażnicy jej praw, jej honoru? Czy pamiętacie ustęp z „Wiernej Rzeki” Żeromskiego, gdy wódz powstańców z 1863 roku i członek tajnego Rządu Narodowego zwraca się do ludzi truchlejących wobec ogromu krzywdy, niesprawiedliwości i przemocy mówiąc:

„Serce mężne uzbroj w siebie”.

Nie zawiodły Ojczyzny mężne serca żołnierzy 2. Korpusu. Nie znajdzie do nich drogi ani niewiara, ani zwątpienie,

czy rozterka duchowa, ani zmęczenie czy chęć odpoczynku po wielu, wielu trudach i doświadczeniach bolesnych.

Nie ugnie się dusza żołnierza, który tyle przeszedł, tyle wycierpiał i nigdy, nawet w dniach najczarniejszych nie zawiodł, a honor służby Ojczyźnie niósł ponad wszystko w życiu.

Żołnierze — słowa — „Honor i Ojczyzna” oznaczają całość, wolność i niepod-

ległość Polski. Od tych zasad nie odstąpimy ani na jotę. Bieć się będziemy z Niemcami do ostatniej chwili, ale niech i wśród swych i wśród obcych nikt nie myśli, że czasowe trudności, cudza brutalność lub rodzima słabość zmuszą nas do uznania rozwiązań, zawierających nie dopuszczalne ustępstwa, częściową choćby kapitulację z najwyższych wartości, co do których kompromisu nie ma i być nie może.

Politykę zajmować się nie chcemy, ale wiemy dobrze, za co ginęli nasi bracia, nasi najlepsi koledzy i towarzysze broni. Nie uznamy nigdy decyzji, która by cieniem poległych krzywdziła pomniejszając ich czystą ofiarę, obrażając ich najdroższą pamięć.

Kawalerowie krzyża Virtuti Militari — tak nam dopomóż Bóg.



Naczelnny Wódz Gen. Broni K. Sosnkowski i Dowódca 2. Korpusu Gen. Dywizji Wł. Anders przed frontem kompanii honorowej

DOWÓDCA 2. KORPUSU MÓWI:

Dzień dzisiejszy jest dla nas wszystkich dniem wielkim i pięknym.

Na piersiach wielu żołnierzy 2. Korpusu zawiesiłeś przed chwilą, Panie Generale, najwyższe bojowe odznaczenie polskie — krzyż Virtuti Militari.

Stało się to w chwilach tak niezmierzenie trudnych i ciężkich dla Polski, kiedy hart ducha, moc charakteru i czyny bojowe żołnierza zdecydować muszą o losie i przyszłości Narodu.

Historia minionych pięciu lat stwierdza niezawodnie, że nie ma w świecie takiej siły, która mogłaby złamać Polaków. We wrześniu 1939 r. walczyliśmy na ziemiach polskich do ostatka. Biliśmy się następnie pod Narwikiem, we Francji i w Tobruku. Podziemna Armia nasza w kraju wspaniale i bez przerwy gnębi wroga. Nasze lotnictwo i marynarka czynami swoimi zdobyły chlubne uznanie sojuszników.

Ogromna większość żołnierzy 2. Korpusu, wspólnie z milionami wywiezionych do Rosji Sowieckiej Polaków, przeżyła najgorsze chwile w więzieniach i obozach pracy. Wydawało się nam wów-

czas, że los najciężej nas właśnie dotknął. Jednak przetrwaliśmy to wszystko; widzimy, że Opatrzność Boska dała nam się połączyć z Brygadą Karpacką i kolegami z W. Brytanii i pozwoliła nam dzisiaj w naszym marszu żołnierskim do Polski, stanąć mocną stopą na ziemi włoskiej.

Z głęboką wiarą i nadzieją w sercach dziękujemy dziś Bogu, że nam pozwolił znowu walczyć o sprawę polską i osiągnąć pierwsze zwycięstwa.

Głęboko boleliśmy nad stratą przeszło tysiąca dwustu naszych kolegów, tych najlepszych synów Polski, którzy polegli w bojach na ziemi włoskiej. Wiemy jednak na pewno, że ginąć mieli oni zarówno w sercach jak i przed oczyma wizję Polski. Wiemy również i to, że poza nami, w śniegach Sybiru, tundrach i piaszczach Uzbekistanu zostały setki tysięcy mogił tych Polaków, którzy umarli tam z głodu i chorób, bez korzyści dla sprawy.

W tej przełomowej chwili, kiedy obce agentury zarzucają sidła na całość Rzeczypospolitej, a narodowi grozi zagłada i wytopienie, stajemy przy Tobie, Panie Generale, złączeni całą mocą przeko-

nia, że tylko czyn i walka, wykluczając chociażby częściową kapitulację, dać mogą Polskę taką, jaką nosimy w swych sercach.

Na pamięć tych poległych, którzy umierali ze słowami „Jeszcze Polska nie zginęła” ślubujemy Ci, że obowiązek nasz żołnierski wykonamy do końca i że będziemy walczyli do ostatka o Polskę wolną, silną i naprawdę niepodległą.

Jesteśmy dziś wzruszeni tym, że odznaczenia za boje na liniach „Gustawa” i „Hitlera”, zawiesiłeś na naszych piersiach własnoręcznie. Jesteśmy szczęśliwi, że otrzymujemy je z rąk dowódcy i starszego kolegi, który życie swoje od najmłodszych lat poświęcił walce o wolność i o honor Narodu, a dla którego mamy niezachwiane zaufanie i przywiązanie.

Jesteśmy wdzięczni Ci za to, że zechciałeś przybyć do nas i że towarzyszyłeś nam na polu walki pod Anconą.

Serdeczne słowa troski i przyjaźni, z jakimi się do nas zwracałeś, będą nam drogowskazem i podniecą do wytrwania i do dalszej walki.

Nasz Naczelnny Wódz, Generał Broni Sosnkowski — niech żyje!

PRZECIWIW MOBILIZACJI CYNIZMU

Jesteśmy świadkami swojego rodzaju mobilizacji cynizmu. „Rzeczpospolita”, organ „Związku Patriotów” w Lublinie podała, że powstanie w Warszawie jest „prowokacją sanacji”, podyktowaną chęcią odegrania się „zbankrutowanych polityków”. Ci sami „patrioci” domagają się postawienia przed trybunałem międzynarodowym gen. Sosnkowskiego, gen. Andersa, gen. Bora i przywódców powstania w stolicy.

Dobrze tym oszczercom odpowiedział Vernon Bartlett na łamach „News Chronicle” w artykule z dnia 29 sierpnia br. Autor podkreśla, że Rosjanie uawoływali Polaków do powstania, ci sami — którzy obecnie uniemożliwili niesienie efektywnej pomocy walczącej Warszawie, odmawiając zezwolenia na użycie lotnisk sowieckich lotnikom, lecącym z odsieczą stolicy Polski. Ci sami Rosjanie obiecywali pomoc powstańcom, a dziś grożą sądem przywódcom tego powstania.

Do tych uwag angielskiego dziennika warto dodać kilka słów komentarza. Sprawa Warszawy urasta do „test case”, niejako do sprawdzianu, który pozwoli ocenić czy wygrywamy pokój, czy tylko wojnę przeciw Niemcom. Warszawa bowiem stała się krwawym tytułem na fascykule aktów i not, obejmujących tzw. „zagadnienie polsko-rosyjskie”.

Zagadnienie to posiada trzy aspekty: a) formalny, b) polski, c) międzynarodowy.

Z punktu widzenia formalnego należy zauważyć, że jest sukcesem dyplomacji sowieckiej, która wykorzystwała szereg naszych kardynalnych błędów — iż polityczna publicystyka międzynarodowa zaadoptowała termin: „sprawa polsko-rosyjska”. Termin ten jest z gruntu fałszywy. Nie ma żadnej „sprawy”, „zagadnienia”, czy „problemu” polsko-rosyjskiego. Są jedynie i wyłącznie jednostronne żądania rosyjskie, wysunięte pod adresem Polski. My w stosunku do Rosji nie wysuwamy żadnych pretensyj terytorialnych, ani nie pragniemy mieszać się w jej życie wewnętrzne. Przeciwnie — życzymy sobie poprawnych stosunków sąsiedzkich, opartych na szanowaniu umów międzynarodowych. Natomiast Związek Sowiecki domaga się od nas połowy Polski, domaga się zmiany rządu, konstytucji, osoby Naczelnego Wodza, ustroju — jednym słowem zrzeczenia się raz na zawsze niepodległości.

Z jednej więc strony są żądania postawione przez Rosję, z drugiej zaś strony — opór narodu polskiego, od pięciu lat walczącego o wolność. „Sprawa”, „zagadnienie”, „problem” polsko-rosyjski jest chytrym wynalazkiem propagandy sowieckiej. Nie ma żadnego zagadnienia — są tylko jednostronne żądania i fakty dokonane na naszych ziemiach.

Z polskiego punktu widzenia żądania sowieckie muszą być uznane za godzące w podstawy naszego bytu państwowego i narodowego i jako takie w całości odrzucone. Pięć lat historii tej wojny nie upoważnia nikogo do posądzania nas, że polityka typu Hachy byłaby zgodną z wolą i przekonaniami narodu polskiego. Przeciwnie — dla każdego musi być jasnym i bezspornie oczywistym, że żołnierz polski, symbolizujący naród polski pod bronią — od pierwszej chwili tej wojny wybrał za wzór nie Hachę, ale Starzyńskiego, odcinając się najkategoryczniej od wszelkich kapitulantów, Quis-

lingów, czy kolaborantów. Hańbą i odpowiedzialnością za jakiś nowy Sejm Niemy, który zaakceptowałby czwarty rozbiór Ojczyzny — żołnierz polski nie będzie dźlił i ponosił.

„Warsaw test case” posiada jeszcze aspekt międzynarodowy. Tkwi w tym pewna symbolika dziejowa, że pięć lat temu Warszawa pierwsza zaprotestowała przeciw hitlerowskiemu zamachowi na Europę, a dziś wraca znów do roli tragi-



Ci spod Cassino, Piedmonte, Ancony...

cznego speakera Europy. Problem jest równie prosty, jak wielki. Pytanie brzmi: czy wygraliśmy wojnę, czy odbudujemy po upadku hitlerizmu ów świat cywilizacji i kultury Zachodu, w obronie którego od pięciu lat krwawi się tyle narodów, — czy też słowo Europa zredukowane zostanie do terminu geograficznego dla oznaczenia małego cypla Azji.

Głęboko i trafnie ujął to zagadnienie gubernator Tomasz Dewey, republikański kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, w słowach: „Jeżeli wejdziemy na błędną drogę cynicznej polityki siły, przegramy wojnę jeszcze przed jej wygrananiem”.

H. W. Henderson w swoim świetnym studium politycznym pt.: „Why trouble about Poland” — pisze dosłownie: „Nieszczęście, jakie ma spotkać tylko pół Polski — dotyczy całej Polski. Jest to chyba jasne nawet dla ślepego. Ci, którzy załamują ręce i mówią: cóż my możemy poradzić? — są wrogami wolności”.

H. W. Henderson ma rację. Wolność jest niepodzielna. Wolność, która jest udziałem jedynie silnych — jest przemocą, prawem, które służy tylko mocniejszemu jest bezprawiem.

Tzw. „małe państwa” są jednym z najcharakterystyczniejszych zjawisk Europy, są fenomenem nigdzie indziej nie spotykanym. Im własnie Europa zawdzięcza ową różnorodność form, które w rezultacie dały najwyższą zdobycz Europejska: chrześcijańską kulturę Zachodu. Ta różnorodność narodowa, obyczajowa i państwowa, to bogactwo różnorodnych impulsów stanowi istotę Europy, a zarazem antytezę wszelkiego „zglajchszaltowania”, które jest nieuchronną konsekwencją hegemonii.

Wydaje się, że mylą się ci, którzy liczą na ślepotę narodów Europy. Mylą się również ci, którzy liczą, że cynizm okrzepnie w milczenie, które kamieniem przyniesie grób Polski. Ci, którzy tak sądzą, nie doceniają znaczenia opinii publicznej w krajach anglosaskich. W prasie i publikacjach brytyjskich mnożą się głosy, które wykazują wzrost czujności w sprawie Polski. Trudno jest tu wszystko zarejestrować. Charakterystycznym jest jednak, że pisma dotąd nie zawsze nam

wojnie będzie odpowiedzią na pytanie, czy wojna przyniosła zwycięstwo, czy też jedynie klęskę Niemiec.

Z punktu widzenia międzynarodowego Sprawa Polska jest w pewnym sensie synonimem problemu europejskiego. Wojna ta istotnie nie jest ideologiczna. Co raz rzadziej mówi się o Karcie Atlantycznej. Są jednak w polityce pewne imponderabilia, wpływające z elementów stałych i niepodlegających fluktuacjom. Jednym z nich jest zależność, a więc i bezpieczeństwo wysp brytyjskich od układu sił na kontynencie. W publicystyce brytyjskiej mówi się dziś nie wiele o zasadzie „równowagi sił”. Ale jak słusznie zauważył w jednym ze swych ostatnich artykułów redaktor „Nineteenth Century And After” — zasada ta nie straciła nic ze swej żywotnej aktualności i w dalszym ciągu Anglia nie będzie mogła od niej odstąpić. Albowiem los Europy jest i losem Anglii.

Polacy muszą sobie jasno i wyraźnie zdać sprawę z faktu, że Sprawa Polska nie jest zaściankowym sporem o mur graniczny, który należy pośpiesznie, ulegle i w cztery oczy co najprędzej załatwić, lecz przeciwnie, winniśmy mieć pełną świadomość, że Sprawa Polska jest kluczowym problemem Europy i jednym z głównych zagadnień tej wojny. Cięży na nas straszliwa odpowiedzialność za powzięcie jakiegokolwiek nieprzemyślanej decyzji. Trwamy w walce przeciw Niemcom i w tej walce wytrwamy aż do zupełnego zwycięstwa. Mamy prawo reprezentować nasze interesy na ogólnej konferencji pokojowej obok Anglii i Stanów Zjednoczonych, z którymi łączy nas sojusz i tyloletnie braterstwo broni.

Przed pięciu laty Warszawa była stolicą problemu europejskiego. W r. 1939 w Warszawie Polacy podjęli decyzję walki przeciw Hitlerowi. Ta decyzja warszawska wpłynęła na bieg wypadków na pięciu kontynentach naszego globu. Dziś, w szóstym roku tej krwawej wojny Historia zatrzymała się powtórnie u bram stolicy Polski. Los Warszawy — los Polski ma bowiem dać odpowiedź dziejom, za co i w imię czego giną żołnierze narodów sprzymierzonych.

Juliusz Mieroszewski

NASZA OKŁADKA



Radość wyzwolonego Paryża

For: U. S. Office of War Information

WOBEĆ NAPOLEONA I CARA ALEKSANDRA

(Aktualne przypomnienie)

Z „Junaka”, miesięcznika młodzieży junackiej, przedrukujemy następujący artykuł:

O Wolność — Całość — Niepodległość podjął naród polski walkę pod wodzą Tadeusza Kościuszki w sławnym, choć tragicznym roku 1794. Nie o jakieś mgliste „braterstwo ludów” czy o równie mało uchwytne „równości”, którą głosili rewolucyjni francuscy, skracający równocześnie... o głowę, w tym zapędzie „zrównywania”, swych przeciwników politycznych i miasą przy tym pożogę wojny w obce kraje... Nie pod tymi efektownymi hasłami szedł do walki ramię w ramię szlachcic, mieszczanin i chłop polski! O odzyskanie **pełnej** niepodległości w dawnych granicach Rzeczypospolitej walczyli — jakże naprawdę realni — „romantycy” i „szaleńcy” Powstania Kościuszkowskiego. Hasło: Wolność—Całość — Niepodległość zamieścił sam Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej w pierwszym zaraz manifestie do wojska polskiego i litewskiego w dniu 24 marca 1794 r. i kazał je wyryć na pieczęciach urzędowych władz powstańczych. Co więcej — zaprzysiął też uroczyste na rynku krakowskim w obliczu Boga **całemu** narodowi, zapewniając, że... „powierzanej sobie władzy użyje dla obrony **całości granic**” i dla „odzyskania samodzielności narodu”. Wiemy, że hasła te nie były wcale przemijającym „sloganem propagandowym”, że tej przysięgi Kościuszko ściśle i wiernie dotrzymał, że w jej imię niośł zarzewie walki o wolność, którą nazwał „świętą”, na **wszystkie** ziemie Rzeczypospolitej, do wszystkich związanych wspólną państwowością ludów, tj. nie tylko Polaków ale i Litwinów, Białorusinów i Rusinów, nie zapominając i o Żydach; niośł je aż do samego tragicznego końca walki zbrojnej, póki skutły pikami i żłbany szabłami nie dostał się do niewoli rosyjskiej pod Maciejowicami (10.X.1794). Ale na ogół mało już wiemy o tym, jak dalece wiernym pozostał Kościuszko hasłom całości, wolności i niepodległości Rzeczypospolitej także i po ostatnim rozbiórze, po opuszczeniu Rosji w grudniu 1796 r., gdy znalazł się na emigracji w wirze wielkich wydarzeń początku XIX wieku.

A o takiej właśnie próbie charakteru, znakomicie zarazem ilustrującej także i rozum polityczny tego wielkiego Polaka, mianowicie o pełnym godności stanowisku, jakie zajął Kościuszko wobec ponętnych ofert Napoleona i cara Aleksandra, pragniemy na tym miejscu powiedzieć słów kilka. Może bieg obecnych wydarzeń wojennych doda tym odległym epizodom z lat 1806-7 i 1814-15 — rumieńców żywej aktualności!

II

Jest rok 1805. Napoleon od roku jest cesarzem Francji i królem Włoch; już zerwał z maskaradą „demokratycznego” konsula, zatwierdzonego przez lud, otoczony świetnym dworem, oparty o bitną armię — marzy o zhołdowaniu całej Europy. Stoi w przededniu tzw. trzeciej wojny koalicyjnej (Anglii, Rosji, Austrii i Szwecji przeciwko Francji). Prusy z ostrożności są jeszcze neutralne, mają bowiem nadzieję zarobić coś bez wysiłku na tej rozgrywce tytanów. Na wszelki wypadek kolidują też grupe polskiej arystokracji z Antonim Radziwiłłem na czele, trzymając w zanadrzu kandydata... na tron polski w osobie ks. Ludwika Ferdynanda Hohenzollerna. Trzeba bowiem mieć „króla polskiego” w rezerwie, bo Francja posługuje się już od 1797 r. coraz bardziej rosnącymi Legionami Polskimi pod dzielnym dowództwem Dąbrowskiego, a Rosja — mając ministra Polaka, księcia Adama Czartoryskiego, też snuje śmiałe plany „wskrzeszenia Polski”. Ale mentalność Prus jest — jak zwykle — dwulicowa, chciałyby wytargować od Napoleona angielski Hannover, ale „niebezpieczeństwo polskie” i obawa przed imperializmem Francji zbliża wreszcie Prusy do Rosji.

Po świetnym przyjęciu w Puławach, urządzonym carowi Aleksandrowi I przez ks. Czartoryskiego (rosyjskiego ministra spraw zagranicznych) i polską elitę, gdzie imperator Rosji nie szczędzi Polakom obietnic na temat odbudowy Państwa Polskiego — jedzie ten godny sukcesor Piotra Wielkiego i Katarzyny do Berlina i tam... w sposób teatralny przy trumnie

Fryderyka Wielkiego w Poczdamie zawiera ścisły sojusz z królem Prus Fryderykiem Wilhelmem III. Czartoryski — zrozumiał, że manewr Aleksandra, obiecujący odbudowę Polski kosztem Prus, był tylko groźbą w stronę Berlina, groźbą skuteczną — podaje się do dymisji, a razem z nim pogrzebane są na razie plany rozbiórki Prus i odbudowy Polski. Rachuby Polaków na Rosję czy Prusy stają się nierealne, — pozostaje jedynie Napoleon, jako ostatnia nadzieja! A Na-



„Kościuszko pod Racławicami” — obraz Jana Matejki

poleon właśnie niedawno minął Wiedeń i szedł na Morawy, bijąc na głowę wojska rosyjskie i austriackie pod Austerlitz (Stawków na Morawach), w tak zwanej bitwie trzech cesarzy (2.XII.1805). Przestraszony król pruski, który nie zdążył jeszcze przystąpić faktycznie do antynapoleońskiej koalicji, zawiera pośpiesznie z Napoleonem pokój i przymierze (15.XII.1805), a pobita Austria poddaje się warunkom Napoleona, podyktowanym w Preszburgu (26.XII). W wojnie z Francją pozostaje jeszcze Rosja, Szwecja i Anglia, której wódz Nelson odniósł świetne zwycięstwo na morzu pod Trafalgarem 21.X.1805.

W takiej sytuacji wypływa w kwaterze głównej Napoleona w Brnie Morawskim znowu nazwisko Kościuszki. Mianowicie, przy omawianiu planu dalszych pochodów wojennych (jeszcze przed bitwą trzech cesarzy), marszów, które mogły pójść przez ziemie polskie, zwrócono Napoleonowi uwagę na mieszkającego pod Paryżem Kościuszkę, „który ciętnie da się użyć (do akcji przeciw Rosji) i cała Polska zbrojnie powstanie”. Na to odparł porywczo Napoleon: „Nie, to byłby ostateczny środek, bo gdyby się nań dozwoliło, nie wiadomo jak to się mogłoby skończyć”. W planach Napoleona bowiem leżało ciągle jeszcze zjednanie Aleksandra, a chcąc go zjednać, trzeba było poświęcić Polskę. Narazie Napoleon chciał tylko grać „straszkami polskimi”.

Zwycięska bitwa pod Austerlitz umożliwiła Napoleonowi nieuciekanie się do tej „polskiej ostateczności”. Ale rok 1806 zmusił Napoleona do zajęcia się sprawą Polski, umacniając bowiem wpływy Francji w Europie oraz swoje panowanie (także przez obsadę różnych nowych i starych tronów członkami rodziny), Napoleon nawiązał do polityki Mazarińskiego (ministra Ludwika XIV), który w roku 1658, dla zabezpieczenia tzw. pokoju westfalskiego i osłabienia Rzeszy, utworzył specjalny „alians nadreński”, pod protektorem Francji. Obecnie Napoleon utworzył nowy „związek refiski”, który objął prawie wszystkie państwa południowej Rzeszy (oprócz Austrii, Prus, Brunświku, Ks. Heskiego itp.). Związek ten miał dostarczyć Napoleonowi 63 tysiące żołnierzy i oczywiście żywić okupację francuską. Utworzenie „związku refiski”, którego ziemie uważane były za naturalny teren ekspansji pruskiej, były jednym z głównych powodów, dla czego Prusy nie wytrzymały w przyjaźni dla Francji i podjęły razem z Rosją wojnę z Napoleonem.

Skończyło się to dla Prus katastroficznie. Zostały pobite przez Napoleona w świetnych bataliach pod Jeną i Auerstaedt tak skutecznie, że już 27.X.1806 r. cesarz Francji był w Berlinie, a rodzina króla

pruskiego uciekała co koni wyskoczy do Królewca. Przybywszy do Berlina, zwrócił Napoleon do siebie Wybickiego i Dąbrowskiego i oświadczył polskiej deputacji, że nastąpi wreszcie czas przywrócenia państwa polskiego, byle Polacy wystawili 30 tysięcy wojska. Gdy po krótkim czasie doszły wieści, że Dąbrowski zebrał już prawie 40 tysięcy, wyrwał się Talleyrandowi (ministrowi Napoleona): „Oho, to za prędko idzie”. — Ale naprawdę Napoleonowi chodziło raczej o

środek presji na Rosję. Jak się mówiło w jego otoczeniu: „potrzebował ich (Polaków) dobrej woli już dla samych wygód swojego wojska i przeciwko nieprzyjacielowi”.

Na rozkaz Napoleona wychodzi tedy z Berlina proklamacja do Polaków (3.XI), podpisana przez Dąbrowskiego i Wybickiego, wzywająca do szeregów i zapowiadająca, że „wkrótce Kościuszko wezwany przez wielkiego Napoleona przemówi do was z jego rozkazów”. Kościuszko jednak nie był przedtem zapytany o zgodę. Przedwcześnie szafowano jego wielkim nazwiskiem.

Dopiero po wydaniu odezwy polecił Napoleon po żołniersku ministrowi policji, Fouchemu (niezwykle chytremu dyplomacie), udać się do Kościuszki i **dostawić go**, „ze wszystkimi Polakami, jacy przy nim znajdować się będą”, polecił jednak uczynić to w najściślejszej tajemnicy. Popędził więc szef policji do siedziby Kościuszki, do Berville pod Paryżem i tutaj — ku swemu najwyższemu zdumieniu — dowiedział się, że Kościuszko nie stanie na czele armii i nie udzieli też swego nazwiska, dopóki nie otrzyma dostatecznie pewnych gwarancji od Napoleona, że całe i niepodległe państwo polskie będzie naprawdę przywrócone!

Żądał mianowicie Kościuszko gwarancji co do trzech punktów (które powtórzył później w liście do Fouchego z 22.I.1807 r., by zapobiec nieporozumieniom i mistyfikacjom):

1. Granice Polski będą się rozciągały mniej więcej od Rygi do Odessy na wschodzie i od Odańska do Węgier na zachodzie (tj. granice Polski historycznej), a na południu po Karpaty;

2. Forma rządu w Polsce będzie taka jak w Anglii;

3. Chłopi będą wolni i otrzymają na własność gospodarstwa teraźniejsze.

Po dotychczasowych, smutnych doświadczeniach z Legionami (jak ich rozwiązanie, wysłanie na San Domingo, rzucenie do Hiszpanii przeciwko narodowi walczącemu o wolność itp.), żądał Kościuszko gwarancji.

Kościuszko, jako reprezentant majestatu Rzeczypospolitej (był jej ostatnią najwyższą władzą, wobec pozbawionego autorytetu króla), nie mógł niczego zrzekać się z praw i terytorium państwa polskiego. Pomny uroczystej przysięgi, złożonej narodowi polskiemu przed 12 laty, nie chciał uczynić żadnego kroku, któryby był zgodą na rozbiory, rezygnację z jakiegokolwiek kawałka ziem Rzeczypospolitej. Mogli inni próbować szczęścia to z zaborcami, to z Napoleonem, mogli iść na szczęśliwe nawet kompromisy, którym Kościuszko — ze względów taktycznych — nie oponował. Ale on sam,

jak długo był uważany za piastuna najwyższej władzy państwowej i zarazem za strażnika honoru i godności **całej** Rzeczypospolitej nie mógł oszukiwać narodu, nie mógł godzić się na frymarzenie honorem i terytorium Polski za cenę jakiegos gubernatorstwa polskiego jako „przysługówki” czy nawet „przedmurza” Francji, a siebie nie chciał degradować do roli pokornego wasala cudzej potencji. Kościuszko rozumiał dobrze co to jest godność narodu i państwa o wiekowych tradycjach. To też kiedy osupty tym „nieposłuszeństwem i oporem” Kościuszki, minister Napoleona uciekł się nawet do groźby, że każe go siłą porwać... spokojnie i z godnością odrzekł mu na to były Naczelnik, że wtedy ogłosi, iż **nie jest wolny!** Zaiste odważne słowo! Nie każdy byłby się zdobył na tak stanowczą postawę wobec władcy Europy, jakim był w danej chwili Napoleon.

Fouche składa Napoleonowi raport o swej nieudanej misji. Odpowiada Napoleon (30.XI) ministrowi policji, że... „jeśli Kościuszko chce przyjechać — to dobrze; jeśli nie — to obejdziemy się bez niego”.

Ale nie bardzo mógł się ohejść władca Europy. To, co usłyszał od Polaków w Poznaniu i to, co doszło doń z Warszawy od Murata, mianowicie — że tylko nazwisko Kościuszki wzbudzi w narodzie wiarę i zaufanie i porwie masy polskie do bromi, zmusiło Napoleona do ponownego wystąpienia Fouchego do Kościuszki. Tym razem wysłannik cesarza Francji przemawiał językiem pełnym słodyczy, ale Kościuszko znał się na „farbowanych lisach” i podtrzymał swe żądania co do wspomnianych trzech gwarancji. Fouche próbował jeszcze innej drogi, mianowicie ogłosił 22.XII.1806 r. stałszowaną odezwę Kościuszki, którą Naczelnik natychmiast sprostował.

Dano więc — nie bez irytacji Napoleona i Fouchego — Kościuszcze spokój i skorzystano z obecności ks. Józefa Poniatowskiego (nazwisko bratanka królewskiego zawsze coś jeszcze znaczyło), by jego uczynić później ministrem wojny Księstwa Warszawskiego, jakie utworzył Napoleon z odebranych Prusom ziem polskich (1807 r.).

Księstwo to, o obszarze około 100 tys. km kw. z około 2,5 milionami mieszkańcami, mogło stać się zawiązką przyszłej Polski, ale na razie było tylko okrojeniem Prus i środkiem presji na cara rosyjskiego, którego Napoleon poufnie zapewnił, że nie ma wcale zamiaru odbudowywania Polski. Sam car Aleksander był z wyników rokowań z Napoleonem zadowolony, że udało mu się — jak mówił — „powstrzymanie odbudowania Polski przynajmniej w pierwszym stadium... przynajmniej nie będzie Polski, tylko twór zabawny: Księstwo Warszawskie”.

Ale do trwałszego porozumienia się między „chytrym Bizantyńczykiem” (jak nazywał Napoleon cara), a „ambitnym uzurpatorem” (za którego car uważał Napoleona), nie miało dojść nigdy; zbyt sprzeczne były interesy obydwu ambitnych władców, zbyt dużo nieufności po obu stronach, nie mówiąc już o sprawie polskiej, która nie dopuszczała do połowicznych rozwiązań. Jeszcze w roku 1810, w traktacie Francji z Rosją zobowiązując się Napoleon, że „Królestwo Polskie nigdy nie będzie odbudowane” (par. 1). W polityce jednak nie ma „nigdy” i „na zawsze”, to też dwa lata później Napoleon podjął gigantyczną wyprawę na Rosję i był **zmuszony** zagrać już bez zastrzeżeń „kartę polską”, zapowiadając w tej „drugiej wojnie polskiej” odbudowanie całej Rzeczypospolitej. Lecz los przesłał już mu sprzyjać, nie Napoleon miał rozwiązać „sprawę polską”. Wszystkie szanse zdawał się mieć obecnie jego szczęśliwszy rywal, car Aleksander, witany po zwycięstwie w czasie triumfalnego wjazdu do Paryża (w marcu 1814 r.), jako zdobywca Europy i „symbol wolności”!

III

Przygotowując się do ostatecznej rozgrywki z Napoleonem, car rosyjski znów obiecał Czartoryskiemu przywrócenie Polski „z granicami na Dźwinie, Berezynie i Dnieprze”, aby — jak mawiał — „zjednane księstwo na polski naród

przemienić". Znow zaczęło się ożywiać pro-rosyjskie stronnictwo, znow zwrócono się do... Kościuszki.

O zamiarach cara Aleksandra wiedział Kościuszko od Czartoryskiego, a do tego wiedział, że wszystkie ziemie polskie znalazły się pod jednym władcą, który nie mogąc ich otwarcie wcielić do Rosji, będzie zmuszony odbudować Polskę, aczkolwiek w unii z Rosją.

Do przebywającego w Paryżu imperatora Rosji zwraca się Kościuszko najpierw listownie (9.IV.1814), apelując doń, by ogłosił się królem Polski (w granicach historycznych), a wówczas on — Kościuszko — gotów jest udać się natychmiast do Polski, by służyć mojej ojczyźnie i mojemu monarsze z honorem i wiernie". Odpowiedź cara (3.V.1814), brzmiała: „najdroższe twoje życzenia będą spełnione". W dalszych słowach Aleksander potwierdził uroczyste zobowiązania poprzednio złożone, co więcej — w rozmowach osobistych z Kościuszką (posyłał po niego nawet powóz dworski), zapewnił go najsolennie o zamiarze odbudowania całej Polski.

Na kongresie jednak w Wiedniu (1814-15), sprawy przybrały inny nieco obrót. Za długo byłoby opisywać te bardzo interesujące kulisy rokowań i sporów wiel-

kiej czwórki (Anglii, Rosji, Prus i Austrii*). Być może, że nie zupełnie było to winą Aleksandra, iż jego plan utworzenia Polski pod berłem cara rosyjskiego spalił na panewce i że skończyło się na kadłubowym Królestwie Kongresowym. Nas interesuje tutaj dalszy etap stosunków Kościuszki z carem Aleksandrem.

Zaproszony do Wiednia przez cara, spotkał się Kościuszko po drodze z Aleksandrem w jego głównej kwaterze w Bawarii (25.V.1815). Cesarz potraktował Kościuszkę (jak pisze sam Naczelnik), najgrzeczniej i kazał mu jechać do Czartoryskiego do Wiednia. Na zapytanie Kościuszki, że może się jednak zdarzyć okoliczność, na którą Czartoryski nie będzie mógł odpowiedzieć, odrzekł Aleksander, że książę ma zlecenie skomunikować się wtedy z carem przez kuriera. Zachęciwszy Kościuszkę do pospiechu słowami, że on (Naczelnik), będzie niedługo potrzebny w Warszawie, pożegnał go car.

W Wiedniu — jak pisze później Kościuszko — zapytał Czartoryskiego, jakie to prowincje składać będą owe Królestwo Polskie, bo jeżeli tylko będzie to dawniejsze „Księstwo", nawet jeszcze zmniejszone „to jest pośmiej, a ja nie pojadę". Tak postawił sprawę Kościuszko. W tym stanie rzeczy Czartoryski pchnął kuriera do cara, ale... odpowiedzi już nie było. A raczej była, ale nazbyt boleśnie wymowna: namiestnikiem rosyj-

skiej przybudówki, zwanej szumnie Królestwem Polskim, został nie Czartoryski, lecz słuźalec, lichy moralnie Zajacek; rzadca właściwym stał się niepoczytalny ks. Konstanty, a we władzach naczelnych zasiadli tacy „Polacy-patrioci" jak Łonskoj i słynny Nowosilcow! Toteż w liście do Czartoryskiego, napisanym wkrótce po konferencji w Wiedniu, a przed wyjazdem Naczelnika do Szwajcarii (do Solury, gdzie pozostał już do śmierci do roku 1817), tłumaczy Kościuszko, dlaczego nie mógł służyć pod Konstantym w towarzystwie takiego hajdaka jak Nowosilcow.

„Rosjanie posiadają z naszymi pierwsze miejsca rządowe, a to nie może obudzić zaufania Polaków... pozostając w sytuacji zbyt słabego partnera wobec Rosji, nie będziemy nigdy mogli liczyć na jej lojalność i szacunek... Rosjanie będą nas traktować jako podległych... nie zdołamy się — będąc zbyt słabymi ludnościowo — obronić intrydy i przemocy Rosjan... czyż mamy zamilczeć o braciach pozostałych pod rządem rosyjskim?... serce nasze wzdryga się i ubolewa, że nie są oni złączeni razem...".

Toteż słusznie mógł napisać Lelewel, że „Kościuszko był pierwszy, co lisiał chytróść i obłudę Aleksandra przeniknął". Byłoby błędem sądzić jednak, że Kościuszko lekceważył istnienie Królestwa Kongresowego. Sam pisał do Czartoryskiego, że odczuwa wdzięczność za wznowienie

imienia polskiego — bo chociaż w szczupłych granicach uczyni się dobrze Polakom, ale nazwiska Naczelnik nie chciał używać jako szyldu reklamowego. Zbyt dobrze wiedział, że to nie była ani wolność, ani całość, ani niepodległość. Doświadczenie poczynione z Napoleonem mogło go tylko umocnić w tym przekonaniu.

IV

Jeszcze drastyczniej wyraził Kościuszko — niczem głos sumienia narodowego — swoje obawy o los Królestwa w liście do jednego z przyjaciół (Sierakowskiego), pisząc na rok przed swą śmiercią:

„Obawa jest wielka, aby nasze Królestwo nie było jak królestwo astrachańskie, które rozplynęło się na prowincje rosyjskie, ale... korona jego widzialna jest w ceremoniach rosyjskich...".

Wierzył Kościuszko, że brutalne stanowisko Rosji wobec Polski zemści się z czasem i na samej Rosji... Ale nie tu miejsce na ryzykowne proroctwa wobec zmiennej losów kolei. Jedno jest w każdym razie niewątpliwe: jak w kalejdoskopie zmieniały się kombinacje polityczne i orientacje, zawodził rzekomy realizm polityczny, ale niczem twarda opoka w zmiennej czasów fali ostały się słowa Kościuszki:

TRZEBA WALCZYĆ O WOLNOŚĆ — CAŁOŚĆ — NIEPODLEGŁOŚĆ



W czasie swego pobytu we Włoszech Premier Rządu Brytyjskiego Winston Churchill odbył dłuższą konferencję z D-cc 2. Korpusu Polskiego Gen. Władysławem Andersem. Na zdjęciach: z lewej — Gen. Wł. Anders wita Premiera Churchilla i D-cc Wojsk Sprzymierzonych we Włoszech Gen. Sir Alexandra; z prawej — Premier Churchill, Gen. Sir Alexander oraz Gen. Anders w kwaterze polowej Dowódcy 2. Korpusu



JEDZIEMY ZA CESANO

Reportaż własny „PARADY" — JAN KIELEWICZ

Do bazy wyjściowej przybyliśmy w nocy, ciemnej, parnej i — bez przesady tajemniczej. Czekaliśmy na robota z kategorii grubszych: głębokie rozpoznanie z nawiązaniem styczności ogniowej z nieprzyjacielem. Niewiele z nas znało zadanie, ale każdy bodaj przeczuwał jego ważność. Miał to być marsz w nieznane na odcinku najbardziej wysuniętym w naszym Korpusie. Noc mogła mieć dla nas w zanadrzu większy zapas niespodzianek.

Czekaliśmy długo i niecierpliwie. Żołnierze pokładli się w ubraniu koło ławek i w rowach, obrosłych gęstą trzcina. Nie spali. Zmęczony wzrok błędził po granatowym nieboskłonie. Spomiędzy listowia wyzierała pucułowała twarz księżycy, jak zawsze ciekawa i szukająca czegoś po rozłogach. Gwiazdy mrugały do siebie i do nas, porozumiewawczo i zachęcająco. Spadające meteory kreśliły długie mleczne linie. Upojne powietrze i rześka wilgoć szuwarów, nasycona zapachem miętowych ziół, skłaniały do bezruchu i refleksyj.

Cicho było. Artyleria niemiecka biła tylko od czasu do czasu, tak od niechcienia — z obowiązku. Nasza odpowiadała jej z uprzejmością dla podtrzymania konwersacji. Jakiś opętany Spandau grał na werblu przestworza i — milkł zaawstydzony, onieśmielony ciszą. Za to żaby rechotały zawzięcie, jakby debatowały nad losami świata. Cwierały w gęszczu jakieś owady: ciernie, ciernie — radziły. Drobnoskrzydła, zbrojna „Luftwaffe" — komary, ćmy, muszki — atakowały nas natrętnie i bezlitośnie.

Wbrew przewidywaniom ruszyliśmy dopiero rano. Saperzy, pracujący nad mostem Bailey'a na rzece Cesano, nie zdążyli go pierwszej skończyć. My właśnie

mamy dokonać inauguracji. Oddział wydzielony formuje się szybko, w marszu — szkoda czasu. Pluton carrierów, trzy czołgi, dwa kaemy, moździerz i pluton piechoty. Jeden z czołgów, przed dotarciem do kolumny wylatuje na minie — nieszkodliwie. Zawraca na miejscu — wylatuje po raz wtóry. Tym razem urwało mu kawał gąsienicy. Zły omen.

Przejeżdżamy bród, płytki i żwirowaty: Przy nim cementaryzko, kupa złomu z dwóch niemieckich czołgów i amfibij — robota lotnictwa. Potem, za objazdem, dudnią nasze gąsienice na małym, ale zgrabnym mostku — noworodku. Posuwamy się wolno. Patrol pionierów dokładnie bada szosę. Często zatrzymujemy się, to patrol wydostaje z ziemi spore, drewniane skrzyneczki i po rozbiorzeniu, odkłada troskliwie na bok. Paskudne prezenty i paskudna robota! Nie podlegszego, jak niepewny grunt pod gąsienicami. Można wysoko skoczyć i daleko upaść — w stanie mocno sproszkowanym.

Biała szosa tnie zygzakiem zieleń zakrytego terenu. Ładne domki C. Bianchi witają nas uśmiechem swych urodziwych mieszkanki i grupkami adorujących je piechurów. Zawiść wkrada się do serca. Nie ma to jak kwatrować w osiedlu, znajdować się w otoczeniu aliancko uśposobionych białoogłowych! Między jedną serią nieprzyjacielskich pocisków a drugą można uśmiechnąć się do dziewczyny, pomóc jej przynieść wiadro wody lub naręcze chrustu, powieść kilka miłych słów w czysto włoskim języku z marchijskim akcentem, polegającym na retorycznym machaniu rąk. A co najważniejsza — można do syta patrzeć i podziwiać miękkie ruchy i pełne kształty.



Generał Wł. Anders odbył również w swej kwaterze dłuższą rozmowę z Marszałkiem Sir Alan Brooke, Szefem Brytyjskiego Sztabu Imperialnego

Nasza droga prowadzi na północ, przez teren znany tylko z mapy. Łagodne wzgórza, zalesienie, łąny nie zebranej kukurydzy, pojedyncze zagrody — cały ten piękny krajobraz wymaga przyzwolenia, prozaicznego rozpoznania. Gdzieś w tym maceczniku kryje się zwierzę, należy je wytopić. Na przeciwnym wzgórzu wznosi się mała miejscina Mondolfo — skupisko chat z wysoką wieżą kościelną pośrodku, skąd doskonały widok na okolicę. Tam siedzą zapewne niemieccy obserwatorzy. Jeśli tak — widzą nas jak na stole plastycznym. Zatem śledzą nas i tropią. Idziemy ku nim bez nagonki, tak na ochotnika, z postanowieniem wzięcia się

za bary. Denerwuje nas tylko to, że Niemcy nie strzelają... Co za bezczelność! Widzą każdy nasz ruch i nie reagują, jakby zamarli w swoich kryjówkach. Mogliby się, do diabła ciężkiego, wreszcie odezwać po ludzku!

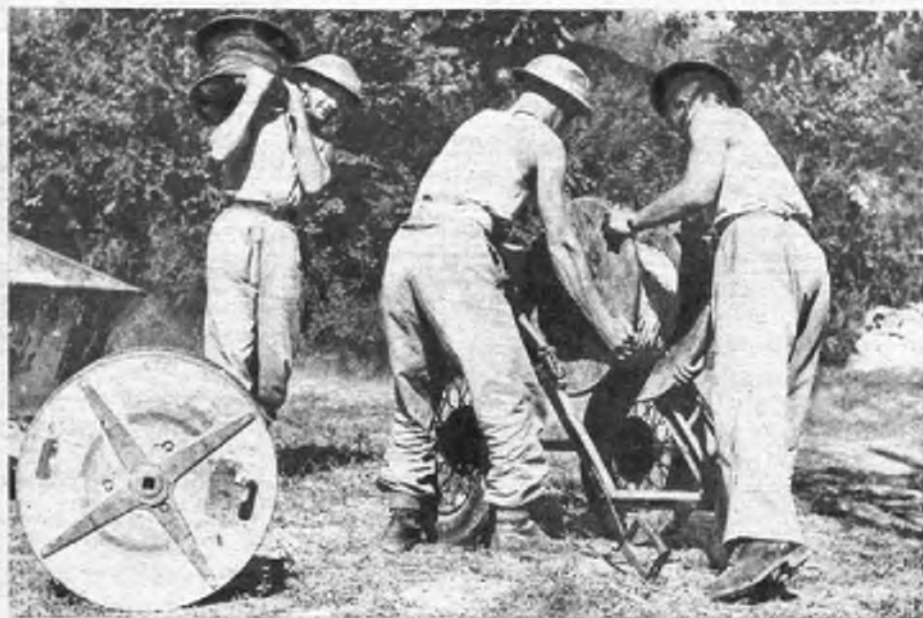
W le Cento Croci na skrzyżowaniu zakopana jest większa porcja min. Dojrzały je ślepy. Płytko pod ziemią, zamaskowane błotem, sterczą jak rozlażłe placki. Talerzowe i drewniane — do wyboru. Podczas gdy zajmują się nimi pionierzy, zaciągamy języka u gadatliwych Włochów. Mają kilku zabitych w osiedlu od ognia naszej artylerii; Niemcy wycofali się stąd przedwczoraj, coś wieźli. P-łotki, ppance, połówki, moździerz?



Zakładanie sieci telefonicznej

↑ Na stanowisku artyleryjskim

Saperzy wyciągają zniszczony ciągnik niemiecki



Nie wiedzą. Coś dużego na kołach i w pokrowcach... Dużo ich było? „Poco, poco”. Odzie przypuszczalnie znajdują się obecnie? W okolicach Mondolfo, bo w mieście ich nie ma. Tylko nie strzelajcie na miasto... Dio difendo!

Aż do S. Sebastiano jedziemy bez przeszkód. Dowódca sekcji carrierów, poprzedzającej czołgi, co chwila zatrzymuje kolumnę. Piechota rusza do przodu, przeszukuje zarośla i pojedyncze chaty. Powtarza się to kilkakrotnie, aż ktoś dostrzeże ukryte za stogami dwa stanowiska Spandau'ów. Niemcy nie strzelają, my także. Dwa Spandau'y to dla naszej kolumny akurat na jeden zab. Powiadomiony drogą radiową czołg nakręcił w ich stronę wieżyczkę z długonosym działem. Kichnął raz i drugi. Spandau'y nie zdążyły się odezwać, za to...

Huraganowy ogień dział ppanc i ciężkich moździerzy lunął na szosę. Huk detonacji ogłuszał ludzi, kłęby dymu i kurzu zasłoniły widoczność. Odlamki furczały tuż koło ucha. Ruszyliśmy na pełnym gazie do przodu — każda chwila była droga. Natężenie nawały ogniowej wzrastało.

Na rozkaz dowódcy O. R. rozproszyliśmy się w terenie. Wozy ukryto za chatami, zajęto stanowiska. Na szczęście dużo tu było rowów strzeleckich i schronów po Niemcach. Obserwacja z nich była wyśmienita. Przed nami, za głębokim zakrzaczonym jarem wznosił się teren do góry, aż do miasta i przyległego doń cmentarza, gdzie stały baterie nieprzyjaciela — w jaśni pięknego, letniego dnia.

Zaterkotały nasze kaemy, zakaszłał moździerz; czołgi, ukryte za przydrożny-

mi krzewami, prały ile wlezie. Na horyzoncie ukazały się dymy, zapalił się stóg. Nagle jednemu z Shermanów, manewrującemu na szosie, pocisk zerwał gąsienicę. Kierowca zrazu nie wiedząc o wypadku pojechał nieco do przodu: gąsienica opadała na ziemię. Ostrzeżony przez towarzyszy, zahamował. Wyskakująca załoga, widząc, że czołg jest cały, zajęła się zbieraniem oporządzenia. Następnym pocisk, tym razem ppanc., rąbnął prosto w przód unieruchomionego kołosa. Odlamki i podmuch zraniły całą załogę. Trzech leży rannych, w tym dowódca, skryto się do rowu. Dwaj, kierowca i radiooperator, ciężko ranni i ogłuszeni, pozostali we wnętrzu. Ciągły ogień uniemożliwił ratunek. Po chwili czołg objął płomienie. Stup czarnego jak sadze dymu walił zeń w górę i rozpościelał się nad miejscem walki. Beładnie trzaskała detonująca amunicja, rozszarpując żelazne wnętrze olbrzyma i ciała zamkniętych w nim ludzi.

Z okna piętrowej chaty obserwujemy z dowódcą przedpole. Ustalamy cele; radiota przekazuje je naszej artylerii. Rozgrywa się w naszych oczach piekielny pojedynek dział. W powietrzu coraz więcej świstów przelatujących pocisków, coraz więcej detonacji. Nad cmentarzem, między grobowcami i wzdłuż czerwonego parkanu snują się kłęby dymu. Na lewym skraju miasta, nieopodal kościoła Madonna della Grotta — podobny obrazek. Gołym okiem widać uciekających i chowających się Niemców. Kaemy sieją za nimi stalowe ziarna.

Niemiecka artyleria także nie próżnuje. Okłada szosę i chaty zapamiętałym ogniem. Bojąc się natarcia kładzie ogień zaporowy na jar, ogień gęsty, morderczy ale — daremny. W jarze nie ma ani jednego naszego żołnierza. Nie wyprowadzamy ich z błędu, niech biją, łatwiej nam wykrywać stanowiska. Ognia starczy i dla nas. Niemcy okazują nam coraz więcej zainteresowania: macają naszą chatę z całą wylewnością... Denerwuje ich widzieć fakt, że nie wychodzi natarcie, którego się spodziewali. Czują się oszukani. Zdążyli już przecież przygotować się

do odwrotu. Dwa olbrzymie grzyby dymu i ciągłe detonacje świadczą o wielkiej ilości materiału wybuchowego, użytej przy wysadzaniu jakichś obiektów. To tak na wszelką ewentualność. Lepiej zniszczyć przedwcześnie, niż wcale. A nuż trzeba będzie wiać w tempie przyspieszonym, a wtedy nie starczy nawet czasu dobiec do odpalarki.

Na podwórzu maszeruje z godnością piękny kogut z okazałym opierzonym harem. Gruchają gołębie; bury kotek znudzony bezsensu wojny, przeciąga się kabłąkowato. Pocisk moździerzowy w pośrodek zabudował Trochę kurzego wrzasku i topotu skrzydeł. Stado jest o połowę mniejsze. Ocalałe kury biegają za odlamkami jak za prosem. Drugi pocisk: kotka już dawno nie ma, poległ dzielny kogut, poległy najpiękniejsze jego odaliski.

— Pamiętają o nas szwabry, co? — mówi do mnie strzelec Kazimierski.

Naprawdę pamiętają. Coraz więcej wzruszających dowodów ich pamięci, aż chałupa drży i cegły się sypią. Pociaszamy się, że nie odbywa się to bez wzajemności i to z solidnym naddatkiem. Niech znają naszą szczodroblivość! Czego się nie robi dla „dobrych” przyjaciół? Na pewno się nie nudzą w naszym ogniu.

Pocisk trzepnął w chatę i zawalił strych; drugi — rozbił kominek na piętrze, zasypał gruzem i tynkiem cały pokój; trzeci — trafił w obórę i przejechał się po rzędem stojących krowach. Dwie zabił, jedną zranił. Ocalało cielę, małutkie, łaciate — przestraszone. Gospodarz młody, zbiedzony Włoch jest zrozpaczo-

ny, ma łzy w oczach. Siedzi w sieni, milczący, smętny. Nie ma nawet siły wejść do obory i dorżnąć zdychającej krowy. Zostawia wszystko na wolę Bożą.

Dowódca O. R'u otrzymuje rozkaz radiowy wysłania patroli na przedpole. Wysłał dwie drużyny strzeleckie, jedną w stronę kościoła Madonna della Grotta, drugą — na skraj cmentarza. Nie bez napięcia czekamy rezultatu. Po jakimś czasie dobiega do nas metaliczne smaganie Spandau'ów i grzechot erkaemów. Krótka walka i — cisza. Wreszcie wracają patrole. Natknęły się na gniazda oporu, mają jednego zabitego i jednego lekko rannego.

Ogień niemiecki ani na chwilę nie słabnie. Czasami jego natężenie żywo przypomina Cassino, tak sakramencko grmocią szwabskie działa. Wyjątkowo małą ilość strat należy przypisać szczęściu i umiejętności zachowaniu się żołnierzy. Carrieri, ukryte w terenie, mają przedziurawione błotniki, poharatane bałki zapasowe. Bety żołnierskie, znajdujące się w nich są postrzępione. Każdy z ludzi „o mały figiel” nie zapoznał się z niemieckimi ersatz-wyrobami.

Przed wieczorem Niemcy wysłali patrole. Te próbowały obejść nas od skrzydeł, szczególnie od strony wschodniej. Zaaplikowana porcja kruszących wyperśwadowała im te zakusy. Mimo tego strzelały do nas, prowokowały seriami ze Spandau'ów. Wyraźnie szukali Niemcy guza.

Wycofaliśmy się z nastaniem zmierzchu. Artyleria nieprzyjaciela zamilkła jak uciętą. W porządku, wóz za wozem, wyjechaliśmy na szosę i utworzyli kolumnę. Szosa zasypana była ziemią, konarami, liśmi. Pełno w niej było lejów i wyrw.

Jechaliśmy szybko, choć bez zbytniego pośpiechu. Każdy z nas wiedział, że jedziemy tylko na odpoczynek nocny, że tu niebawem wrócimy i — teraz po rozpoznaniu terenu i ustaleniu sił nieprzyjaciela — damy mu takiego łupnia, że nas długo popamięta.

Odprowadzała nas łuna palącego się wciąż czołga.

Żołnierz polski dzieli się obiadem z bladym staruszkiem





Düsseldorf nad Renem, wielki ośrodek przemysłu niemieckiego i jeden z największych portów śródlądowych w Europie



Na zdobytej pozycji niemieckiej

Samoczynne działo niemieckie 105 mm, zdobyte przez Kanadyjczyków



Francuz udziela cennych wskazówek żołnierzom amerykańskim

SPRZYMIERZENI NAD RENEM

W trzy miesiące od wylądowania pierwszych oddziałów brytyjsko-amerykańskich w Normandii, wojska sojuszników dotarły do granic Niemiec. Inwazja okupowanej do niedawna przez Niemców Francji zamienia się na inwazję już samej Rzeszy. Tempo wydarzeń na froncie francuskim przeszło wszelkie oczekiwania, potwierdzając, że siły Niemiec znacznie przeceniono. Zacięty, zorganizowany opór niemiecki we Francji trwał niewiele ponad sześć tygodni. Dlaczego tylko tyle? Liczbowo Sojusznicy bynajmniej nie przeważali. Niemcy dysponowali bowiem na obszarze od Hiszpanii do Holandii 55–60 dywizjami, a nie jest pewne, czy Sprzymierzeni nawet dziś osiągnęli ten stan. Morale żołnierza niemieckiego w pierwszym okresie walk było na ogół bardzo dobre, więc i to nie mogło być przyczyną tak wielkiej klęski. Zwycięstwo sojuszników we Francji wynika przede wszystkim z wyższości strategii dowództwa Sprzymierzonych, z ich przewagi, która od początku tkwiła w ciągłej groźbie uderzenia w innych jeszcze miejscach. Dowództwo niemieckie nie mogło zdecydować się na większe użycie swych rezerw wtedy, kiedy to jeszcze mogło dać jakieś wyniki, z obawy przed dalszymi lądowaniami Sojuszników. Potem było już na to — za późno. Pierwsze sukcesy wojsk Sprzymierzonych w Normandii były porażką Niemców, dalsze, w których wielki udział wzięła polska dywizja pancerna gen. Maczka, stały się ich klęską. O pogromie jednak armii niemieckiej zdecydowała szybkość ofensywy sojuszników, zależna nie tylko od siły ognia, czy przewagi w sprzęcie, ale również i szczególnie od ciągłości i szybkości dostaw zaopatrzenia. Prace kwatermistrzów ilustruje wymownie taka cyfra: W ciągu tak szybkiej ofensywy 30.000 samochodów musiało codziennie

odbywać drogę z baz do przesuwającej się stale linii frontu. — Linia „Siegfrieda”, ani Ren nie powstrzymają pochodu Sprzymierzonych. Niemiecka „straż nad Renem” — „die Wacht am Rhein” — zniknie z Nadreni, która stała się arsenałem imperializmu.

Ten uścisk dłoni mówi wszystko...



W Paryżu walczyły z Niemcami również dziewczęta francuskie



WARSZAWA WALCZY

Poniżej podajemy przebieg walk w Warszawie na podstawie komunikatów Gen. Bora, Dowódcy Armii Krajowej.

W dniu 1 sierpnia br. o godzinie 5 po południu na dachach domów warszawskich ukazały się flagi polskie. Był to znak do podjęcia powstania.

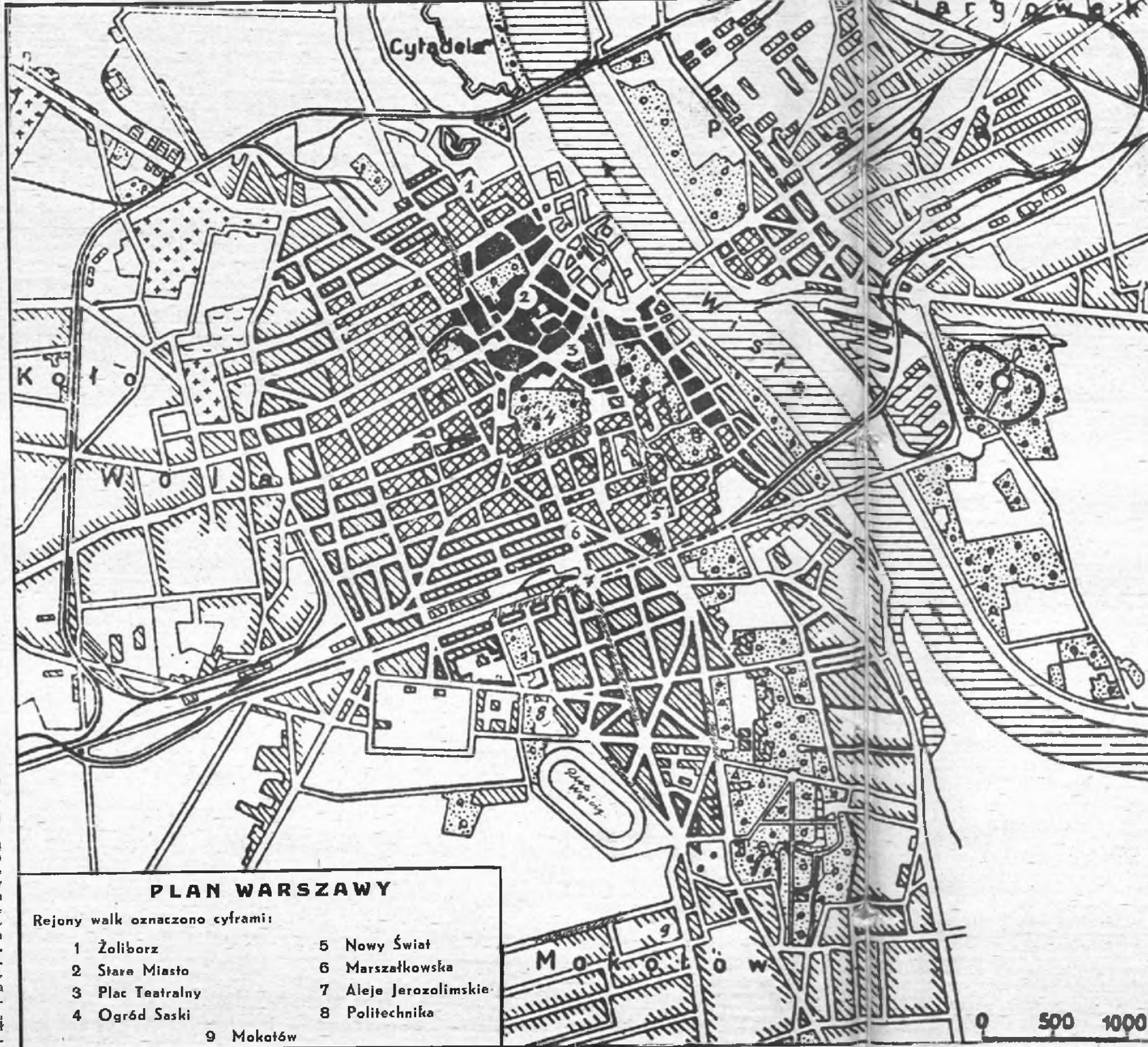
Oddziały Armii Krajowej występują do otwartej walki o opanowanie stolicy. Otoczono wszystkie koszar niemieckie, przerywając komunikację pomiędzy nimi, a uruchomione przez polskie patrole megalony uliczne nadają w języku niemieckim informacje dywersyjne dla wroga. Stolica pokrywa się barykadami. W ciągu dwu następnych dni Armia Krajowa opanowuje Ogród Saski, Belweder i Żoliborz. Niemcy dla przecięcia łączności pomiędzy poszczególnymi oddziałami polskimi palą domy wzdłuż Alei Jerozolimskich począwszy od Nowego Świata do Marszałkowskiej oraz wprowadzają do akcji czołgi i bombowce. Mosty na Wiśle i Dworzec Główny przechodzą kilkakrotnie z rąk do rąk. W części południowej miasta i w śródmieściu, którego część zachodnia jest prawie cała w rękach polskich, Niemcy cofają się. Rejon dworców Wileńskiego i Wschodniego, po wyparciu nieprzyjaciela zostają zdobyte przez nasze oddziały. Próby Niemców zawładnięcia arteriami komunikacyjnymi Leszno-Wolska oraz Marszałkowska, pomimo licznych ataków, nie udają się. Akcje czołgów nieprzyjaciela osłania ludnością cywilną, którą pędzi przed swymi kolumnami.

Armia Krajowa panuje niemal całkowicie na Starym Mieście, w zachodniej części stolicy, w śródmieściu i w Mokotowie. Opanowano rejon Placu Teatralnego i Placu Bankowego. Lotnictwo niemieckie bombarduje miasto i ostrzeliwuje je z nurkujących samolotów Stuka. Jednakże, pomimo licznych strat, inicjatywa w dalszym ciągu pozostaje w rękach Armii Krajowej.

Od dnia 4 sierpnia następuje zupełna, złowroga cisza od strony przedmieść Warszawy, gdzie stały wojska sowieckie. Niemcy zdobywają arterie: Wolska-Leszno-Most Kierbedzia, szczególnie silnie nacierając w rejonie Wola-Powązki. Jednocześnie podejmują próbę przebiecia trzeciej arterii przelotowej: Czyste-Dworzec Gdański-stary most kolejowy, co im jednak nie udaje się pomimo nawały ognia artylerii. Na Żoliborzu armia nasza czyni dalsze postępy zdobywając Plac Wilsona. W oddziałach polskich walczą 12-letni chłopcy, którzy butelkami z benzyną obrzucają niemieckie czołgi. W dziesiątym dniu walk Niemcy wyparli nasze oddziały z części Placu Teatralnego. Oddziały Armii Krajowej trzymają jednak Ratusz, którego lewe skrzydło jest doszczętnie spalone, stając się w rejonie Bielańskiej ciężkie walki. Oddziały nasze zmuszone zostają do opuszczenia Woli, natomiast wszystkie inne ataki niemieckie zostają odparte. W nocy natarcie walk wzmaga się. 5 sierpnia z domu profesorskiego na Nowym Żejdździe Niemcy wyprowadzili profesorów uniwersytetu: Andrzeja Trefliaka, Zygmunta Cybichowskiego, Józefa Ralacza, Eugeniusza Wajgiela, Adama Kossę, Antoniego Przedborskiego i inżyniera Wierchlejskiego, których rozstrzelali. Od granatu zginął profesor Wacław Roszkowski, na barykadzie padł kapitan Zygmunt Hempel.

Natarzenie walk nie słabnie. Na Ratuszu i Zamku w dalszym ciągu powiewają flagi polskie. Niemcy czołgami trzymają trzy arterie: prostopadłe do Wisły: Grójecka-Most Poniatowskiego, Wolska-Leszno-Most Kierbedzia, oraz: kolej obwodowa-stary most kolejowy. Wszystkie domy wzdłuż tych arterii są spalone. Niemieckie pociągi pancerne na kolei obwodowej nękającym ogniem artylerii ostrzeliwują północne dzielnice miasta. Artyleria nieprzyjaciela ostrzeliwuje miasto z Pragi, która jest odcięta. Z powietrza trwa nieprzerwane bombardowanie. Na Powązkach pozycje są częściowo utrzymane przez Armię Krajową, pomimo natarcia niemieckiej piechoty przy silnym ogniu moździerzy i artylerii. Plac Teatralny i zachodnia część Ochoty w dalszym ciągu pozostają w posiadaniu naszym. Cała stolica przecięta jest trzema szlakami broniowymi przez Niemców, którzy pomimo silnej przewagi, w wielu miejscach cofają się. Niektóre oddziały „Waffen SS” poniosły straty do 30 procent.

W dniu 11 sierpnia o godzinie 3.30 nad ranem wróg rozpoczyna koncentryczne natarcie na Stare Miasto i Stawkę. Natarcie to wsparte jest ogniem artylerii z pociągów pancernych, moździerzy, granatników i dział przeciwpancernych. Jed-



PLAN WARSZAWY

Rejony walk oznaczono cyframi:

- | | |
|------------------|-----------------------|
| 1 Żoliborz | 5 Nowy Świat |
| 2 Stare Miasto | 6 Marszałkowska |
| 3 Plac Teatralny | 7 Aleje Jerozolimskie |
| 4 Ogród Saski | 8 Politechnika |
| 9 Mokotów | |

nakże uderzenie oddziałów Armii Krajowej odparto nieprzyjaciela i Stawkę pozostają w polskich rękach. W śródmieściu przez cały następny dzień trwają działania zaczepne Armii Krajowej. Niemcy ostrzeliwują nasze oddziały z moździerzy sprężynowych i moździerzy ciężkiego kalibru, jednak pomimo nawały ognia, w niektórych dzielnicach, jak np.: na Żoliborzu, Armia Krajowa rozszerza swój stan posiadania. Główny wysiłek niemiecki skierowany jest na zlikwidowanie punktów oporu na Starym Mieście, które ostrzeliwują z brzozy praskiego. W rejonie tym trwają uporczywe walki jednak oddziały nasze utrzymują się na zdobytych pozycjach, niszcząc w ciągu ostatnich dwu dni 9 czołgów nieprzyjaciela oraz zdobywając sprzęt i amunicję, która już zaczyna wyczerpywać się. W piętnastym dniu powstania natarzenie walk na najcięższym odcinku Starego Miasta słabnie. Nieprzyjaciel bowiem poniosł tu duże straty. Armia Krajowa całkowicie opanowuje Plac Teatralny. Ognień artylerii i moździerzy wroga staje się nie tak silny.

Nadchodzą wreszcie pierwsza, tak oczekiwana pomoc od Sprzymierzonych: kilka samolotów z polskimi załogami

zrzuca sprzęt. Nazajutrz przez cały dzień nieprzyjacieli kładzie ogień nękający artylerię ciężkiej i moździerzy na rejon Starego Miasta. Zacięte walki trwają w śródmieściu, szczególnie na Krakowskim Przedmieściu, Towarowej, Grzybowskiej i w Halach Mirowskich. Główny wysiłek Niemcy kierują teraz na śródmieście w okolicy Placu Grzybowskiego. Poszczególne punkty oporu i barykady przechodzą z rąk do rąk. Na całym obszarze stolicy szaleje terorystyczny ogień salwowy moździerzy podpalających i artylerii. Mimo to dotychczasowe zdobycze polskie nadal są utrzymane. Straty w ludziach, po obu stronach, są bardzo duże. Baon piechoty niemieckiej sprowadzony z Zegrza w walkach od 3 sierpnia poniósł około 50 procent strat. Z jednego miejsca w rejonie Starego Miasta Niemcy wycofali się, pozostawiając czołgi bez załóg.

Dzień 19 sierpnia na Starym Mieście od rana do zmierzchu jest najcięższy pod względem bombardowania lotniczego, artylerii i moździerzy. Natarcie niemieckiej piechoty, choć poprzedzone huraganową nawałą ognia, wszędzie zostało odparte. W śródmieściu w dalszym ciągu trwają zacięte walki na barykadach. Od-

cięte przez oddziały Armii Krajowej załogi niemieckie zapatrywane są w żywność przez „Luitwaffe”. Spalone zostały przez wroga: szpital Czerwonego Krzyża, Muzeum Narodowe, Pałac Raczyńskich, Pałac Dekerta, Pałac Staszica i pałac w Łazienkach, jak również dzielnica około ulicy Filłrowej, Rasyńskiej i Placu Narutowicza. Niemcy usiłują podpaść Polną od strony Politechniki. Natarcia wroga ześrodkowane w śródmieściu i w rejonie ulicy Towarowej zostają odparte. Na innych odcinkach trwają działania zaczepno-odporne. Nieprzyjaciel nęka miasto bombardowaniem lotniczym, ogniem moździerzy i artylerii oraz używa do rozwalania domów, czołgów typu „Goliat”, kierowanych na odległość.

Siodmą część naszej armii stanowią kobiety, które prowadzą kuchnie, punkty sanitarne, bądź są załogami. W mieście uruchomionych zostało sto kuchni dla walczących oraz czynnych jest czterdzieści punktów opatrunkowych. W czasie natarcia na odcinku Leszno i Nalewki nasze oddziały zniszczyły trzy z czterech czołgów typu „Tygrys”, a załogi barykad na Nalewkach rozbiły trzy czołgi typu „Goliat”, kierowane automatycznie. W śródmieściu Niemcy ponawiają ataki na

ulicę Krzyżową i Szopną. Na Krochmalnej trwają zacięte walki. Na południowym odcinku: Królikarnia w rękach polskich. Ataki nieprzyjaciela na Królewską, jak również na filtry przy ulicy Filłrowej, zostają odparte. W natarciu na utracę Armii Krajowej zdobywa broń i amunicję. Na Grzybowie oddziały polskie zdobyły kilka tysięcy granatów. Na ulicy „Półnej” po dziesięciu godzinnych walkach oddziały nasze opanowały centralę telefoniczną „Cedergrena”. Przeciwnie niemieckie, wspierane czołgami załamały się. W walkach tych oddział polski wziął do niewoli jednego Obergruppenführera. Stopeń ten jest odzwierciedleniem generalnego SS.

W gólczy działają dwie radiostacje, których audycje słyszane są w Londynie. Pierwszą rozpoczyna audycja słowami: „Hallel Tu Błyskawica, stacja nadawcza Armii Krajowej”, druga: „Hallel Tu młodej polskiej radio Warszawa”. W dniu dwudziestym pierwszym sierpnia ogłoszono przez radio warszawskie apel kobiet polskich do Papieża. Apel ten brzmiał: „Ojcie Święty, my, kobiety polskie walczymy w Warszawie, kierowane patriotyzmem i przywiązaniem do

ziemi ojców naszych. Brak nam żywności i środków opatrunkowych. Twierdzą naszej bronimy już przez trzy tygodnie. Warszawa jest w gruzach, Niemcy mordują rannych w szpitalach. Kobiety i dzieci pędzą przed czołgami. Nie są przesadą wiadomości, że na ulicach Warszawy walczą dzieci, niszcząc czołgi nieprzyjaciela butelkami z benzyną. My, matki patrzymy na naszych synów, którzy giną za wolność i za naszą ziemię. Nasi nieźwiele, synowie i bracia walcząc do dnia dzisiejszego nie mają prawa i nie są uznani za kombatanów. Ojcie Święty, nikt nam nie pomaga. Armie rosyjskie już od trzech tygodni stoją u bram Warszawy, nie posuwając się z pomocą ani na krok. Z Anglii nadeszła pomoc, jednak w znikomej ilości. Świat nie chce wiedzieć o naszej walce. Jedynie Bóg jest z nami. Ojcie Święty, namiestniku naszego Pana i Władcy, jeśli nas usłyszysz, udziel nam błogosławieństwa Bożego, nam kobietom polskim, walczącym o Kościół i wolność”.

W trzecim tygodniu walk nieprzyjaciela Stare Miasto ogniem artylerii i moździerzy oraz bombardowaniem lotniczym. Pomimo silnego ognia Niemców oddziały Armii Krajowej zdobywają gmach Banku Polskiego na Bielańskiej oraz odpierają silne natarcie oddziałów SS na pałac Radziwiłłów przy tejże ulicy. W posiadaniu naszych oddziałów znajdują się teraz ulice: Bielańska, Tomacka i Przejazd. Stanowiska ogniowe są przeważnie na gruzach domów, gdzie dochodzi do walk wręcz. W ciągu następnych dwu dni Armia Krajowa w walkach na ulicy Noakowskiej zdobyła gmach Politechniki. Aleje Jerozolimskie, gdzie dotąd pozostają jeszcze kilka pozycji nieprzyjaciela, jako arteria przelotowa Warszawy, straciła całkowicie swe znaczenie, ponieważ są kontrolowane przez nasze oddziały. Na Mokotowie, gdzie w nocy samoloty brytyjskie zrzucały broń, oddziały polskie zostały zasilone posiłkami, które przesyłano z prowincji. Liczne ewakuacyjne samochody niemieckie opuszczają Warszawę. Wśród wojsk niemieckich walczą oddziały sfornowane z jeńców rosyjskich, których ludność nazywa kałmukami.

Działania zaczepne Armii Krajowej trwają w dalszym ciągu. Oddziały polskie zajmują kompleks budynków policji, stanowiąc silny punkt oporu wroga i panując nad Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem. W dniu 26 sierpnia o godzinie czwartej nad ranem Armia Krajowa rozpoczęła trzysieczne natarcie od ulicy Czackiego, uwiecznione zdobyciem pokaznej ilości broni i amunicji. Na Mokotowie w tym samym czasie trwają zażarte walki pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela. W innych dzielnicach oddziały polskie osiągają lokalne sukcesy, likwidując na Krochmalnej gnia-

zda niemieckich kaemów i odpierając parokrotnie ponawiane natarcia na północ od Grzybowia i Wolicowa. Niemcy podpalili kościół Św. Krzyża, w którym rozgrywały się dramatyczne walki. Szkoły wyrażone przez Niemców są olbrzymie. W ostatnich dniach walk szczególnie silnie uciierały ulice: Krucza, Wilcza, Piusa, Mokotowska, Koszykowa, Aleje Ujazdowskie. Pożary w śródmieściu trwają dniami i nocą gaszenie ich jest niemal niemożliwe, gdyż Niemcy wywieźli z Warszawy całą straż ogniową. Zapasy żywności walczących oddziałów i ludności polskiej są już na wyczerpaniu, a możliwość dowozu z zewnątrz jest dosłownie żadna. Pomimo wyczerpania się amunicji i olbrzymich strat w ludziach, natarzenie walk nie słabnie, a inicjatywa jest nadal w rękach oddziałów Armii Krajowej, które zdobywają jeszcze jeden niemiecki punkt oporu na Nowym Świecie. Inne nasze oddziały rozszerzają swój stan posiadania na Górnym i Dolnym Czerniakowie, gdzie wypierają Niemców z szeregu umocnionych gniazd oporu, jak również zdobywają umocnione stanowisko nieprzyjaciela w lokalu Cafe Club przy zbiegu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Jednocześnie atak z dwu stron i od podwórza zaskoczył tu Niemców niespodzianie. W wyniku tej akcji uwolniono wielu zakładników.

Ogółem od chwili wybuchu walk do 25 sierpnia oddziały Armii Krajowej zdobyły lub uszkodziły 115 czołgów i samochodów pancernych. Na Starym Mieście zacięte walki trwają nadal. Na Bielańskiej, Długiej i Przejazd oddziały nasze przechodzą do natarcia. Osiągnięto również sukcesy na Żoliborzu i Mokotowie oraz zdobyto gmach Banku Gospodarstwa Krajowego na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, gdzie uwolniono więzione w piwnicy kobiety. Frascati i Aleje Jerozolimskie od Marszałkowskiej do Nowego Świata są opanowane przez oddziały polskie. W ciągu następnych dwu dni pada jeszcze jeden punkt oporu niemieckiego na Nowym Świecie. Niemcy ostrzeliwują śródmieście ogniem moździerzy i bombardują z powietrza. Szereg stanowisk polskich jest atakowanych przez Niemców pod osłoną pędzonej ludności cywilnej. Na Placu Traugutta, gdzie Niemcy wzniesli barykady, trwają zacięte walki. Najsilniejsze ataki wroga skierowane są przede wszystkim na Stare Miasto. Nasze oddziały zajmują część ruin Zamku i odpierają ataki Niemców na gmach wytwórni papierów wartościowych. Budynek ten atakowany jest czołgami oraz ogniem moździerzy i artylerii. Na innym odcinku oddział Armii Krajowej zdobywa obóz koncentracyjny w pobliżu więzienia Pawia, uwalniając jeńców. Na Podwalu, Bonifraterskiej, Franciszkańskiej i Rybakach odparto wszystkie natarcia nieprzy-

jiaciela, jak również zajęty zostaje Pasaż Simonsa i Bank Polski.

Na Żoliborzu oddziały polskie rozszerzają swe stanowiska w kierunku północnym i północno-wschodnim. W rejonie tym walczą oddziały kozackie w służbie niemieckiej. W północnej dzielnicy Mokotowa, pomimo przewagi środków technicznych wroga, oddziały Armii Krajowej trzymają swe stanowiska, opanowując ulice: Nowosielską, Podchorążych, Stypińską i Górką. Trzykrotnie przedwzięcia Niemców zostają tutaj odparte z dużymi stratami dla nieprzyjaciela.

W dniu 30 sierpnia Niemcy ustawili na moście Poniatowskiego dział skierowany na Aleje Jerozolimskie, ponadto nieprzyjacieli wprowadził do walki moździerze o kalibrze 60 cm (24 cale). Cafe miasto znajduje się stale pod ciężkim ogniem artylerii, moździerzy i bombardowaniem lotniczym. Na Żoliborzu Niemcy rozbudowują swe pozycje, osłaniając Wisłostadą, jednakże cały Żoliborz Oficerski i Dolny są w rękach polskich.

W śródmieściu Niemcy kilkakrotnie w ciągu dnia nacierali na gmach Poczt i Telegrafów przy ulicy Poznańskiej, natarcie to zostało jednak zlikwidowane przedwzięciem. Na Starym Mieście walki toczą się w bardzo ciężkich warunkach. Oddziały Armii Krajowej zmuszone zostają do opuszczenia Placu Zamkowego. Niemcy zajmują część Ratusza. Wzdłuż ulicy Św. Jana trwają zacięte walki, zagrożona jest także ulica Jezińska, nieprzyjacieli atakuje również Mostową, tutaj jednak ataki zostały odparte. Tracimy północną część bloku między ulicami Zakroczymską, Wojskową i Przyrynkową, Niemcy szczególnie silnie nacierają wzdłuż Świętojańskiej, Piwnej i Koscielnej. W rejonie Cytadeli ukazały się patroli nieprzyjaciela, na Marymoncie Niemcy podpalili całą dzielnicę.

Lotnictwo niemieckie zrzuca bomby o wadze 500 kg. Po całonocnym bombardowaniu Niemcy w dniu 1 września zrzucili na Warszawę ułotki, nawołujące ludność cywilną do natychmiastowego opuszczenia stolicy, która zostanie doszczętnie spalona.

W dn.3 września w chwili gdy piszemy te słowa Powstanie Sierpniowe trwa, acz nie ma już w Warszawie jednej niezniszczonej ulicy i bodaj jednego ocalałego budynku. Jeśli Armii Krajowej Sprzymierzni nie przysiąd z pomocą, Niemcy z pewnością spienią swą groźbę i stolica spopielni się w płomieniach. Romantyczna... bohaterka... tragiczna... święta. Dawna Warszawa z Łazienkowskim Pałacem i Kolumną Zygmunta przejdzie do rycerskiej legendy. Naród jednak nie złoży broni w walce o wolność, niepodległość i nienaruszalność granic Rzeczypospolitej, aż do zwycięstwa, a na gruzach miasta Starzyńskiego i Bora powstaną nowe ulice, domy, szkoły i ogrody.

Tadeusz Witlin

WARSZAWSKIE DZIECI

MARSZ

ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ



PULK ULANOW KARPACKICH



Na placówce pod Cassino

Dawódca pułku ze sztabem przy pracy



Tobruk — Gazala — Passo Corno — Ancona, to szlak bojowy najstarszego na Środkowym Wschodzie pułku ułanów i jego duma. „Ci z palmami”, jak ich często nazywają koledzy z innych oddziałów, w ciągu czterech lat istnienia pułku, do starej tradycji i zwyczajów kawalerii polskiej, przyjęli wiele cech zewnętrznych od kolegów z pułków angielskich, przyjmując nadto pewne naleciałości, wynikające z długiego pobytu na Wschodzie. I wytworzyli nowy, w pewnym sensie, typ pancernego kawalerzysty polskiego.

Zamieszczając tu kilka zdjęć, ilustrujących ostatnie działania Ułanów Karpackich we Włoszech pragniemy dać tyle miejsca również innym oddziałom, które nadesłały fotografie.

Wóz pancerny w przemarzu



Przed natarciem na Anconę



Ulański grób na Passo-Corno

Na przedmieściach Ancony



Wyciąganie rannego z wozu pancernego

W zdobytym mieście



Przez Ngong Hills do jeziora Victoria

DYMIĄCE JEZIORO

Przed kilku, a może nawet i kilkunastu milionami lat, w erze, którą uczeni geolodzy nazywają Kainozoic, nasz ziemski glob przeżywał bardzo ciężkie czasy. Ziemia przybierała nowe kształty. Formowaniu i podnoszeniu się gór towarzyszyły potężne wybuchy wulkanów. Cała Afryka Wschodnia, a szczególnie jej część obecnie zwana Kenią, zawdzięcza swą konfigurację tym właśnie wybuchom. Kenia uważana jest za jeden z największych wulkanicznych krajów świata, za kraj drżących wulkanów. Aktywność wulkaniczna stworzyła najwyższe góry Afryki, Kilima Njaro (5888 metrów) i Keni (5194 m), pofałdowała wyżyny i podkopawszy skorupę, spowodowała wielkie zapadanie się powierzchni — tworząc olbrzymie rowy. W taki sposób powstał wielki rów tektoniczny — Great Rift Valley. Rów ten wypełnił się wodą i był niegdyś największym, śródlądowym morzem Afryki. Po tysiącach lat woda zniknęła, a pozostały po niej tylko liczne jeziora, które widzimy obecnie w tej części Afryki.

Jednym z takich jezior jest jezioro Nakuru, znajdujące się niedaleko miasta, któremu dało nazwę. Miasto Nakuru rozbudowało się tuż u stóp wygasłego wulkanu Menengai.

Spieszę, żeby zobaczyć jezioro sławne i z tego, że obrały sobie na nim siedzibę flamingi. Przechodzę obok latarni z Waterloo-Bridge, podarowanej miastu przez Londyn, mijam Rift Valley Club, Misję Katolicką, lotnisko i wychodzę na pola. Naokoło pożółkłe trawy. Tu i ówdzie orka, tu i ówdzie pasące się stada bydła. Dalej, w dużej kotlinie, jezioro, otoczone ze wszystkich stron górami. Przy brzegach lasy. Z jeziora, które z daleka wygląda jak biała łacha, unoszą się wysoko tumany dymu. Dym ten czasami przybiera fantastyczne kolory i zdaje się, że z jeziora bucha ogień. Tumany natronu i sody podnoszone wiatrami igrają ze słońcem.

Zagłębiając się w las. Opadają mnie roje much i komarów, od których trudno się opędzić. Tutaj dopiero ocenia się wartość tak często pogardzanego u nas „końskiego ogona”. Opuszczywszy las wychodzę na równinę, pokrytą buszem i trawami. Dalej ziemia wyschniętego jeziora pokryta grubą warstwą białej sody. Jezioro jest pozahowane prawie zupełnie wody, są tylko małe kałuże, po których brodzi tysiące flamingów. Ptaki te szczególnie ukochały jezioro Nakuru. Prawdopodobnie rodzą się tu, żyją i tu umierają. Świadczą o tym liczne cmentarzyska białych kości i różowych piór.

Idę po grząskiej ziemi, zapadając się po kostki w biały muł. Po paru godzinach upartej wędrówki docieram do brodzących flamingów, ale zbyt podmokły teren nie pozwala mi zbliżyć się do ptaków. Na mój widok flamingi zaczynają się żywo ruszać i pokrzykiwać. Próbuja nawet latać, zajmując wobec mnie nie bardzo przyjazną postawę.

PRZYGODA W RIFT VALLEY

Rift Valley jest jedną z najbardziej interesujących formacji geologicznych świata. Powstała wskutek wstrząsów tekto-

Euphorbia Candelabra u brzegu jeziora Naivasha



Zachód słońca nad jeziorem Victoria



Lwy na Sawannie

nicznych w czasach, kiedy ziemia nasza przeżywała swe młodzieńcze lata. Ciąg nie się od doliny Jordanu poprzez morze Czerwone, Abisynię i Afrykę Wschodnią, aż do brzegów oceanu Indyjskiego w Mozambiku.

Idziemy w trójkę, z Henry i Johnem zwiedzać dolinę w okolicy Ngong Hills. Moi maui towarzysze, ośmioletni bliźnięcy, są tak bardzo do siebie podobni, że z trudnością odróżniam, który jest John, a który Henry.

Przedzieramy się przez gęsty i klujący busz i schodzimy do głębokiego parowu na dnie którego w okresie deszczów szumią burzliwe wody górskiej rzeki. Teraz ani śladu wody. Przeprawa jest bardzo trudna. Z rąk i z kolan cieknie krew, ale nikt z nas tym się nie przejmując. Zachęcam chłopców opowiadaniem o czerwonoskórych, na wzór których my właśnie przedzieramy się przez gąszcz. Po męczącym wysiłku fizycznym wdrapujemy się na łagodne zbocza Ngong'u, porośnięte krzakami, trawą i kępami cienkich bambusów. Idziemy poszukać lwów. Chłopcy idą odważnie, jak przystało na prawuków słynnego feldmarszałka lorda Napiera of Magdala.

Poniżej, po prawej stronie, wspaniały widok. Szeroka dolina, pokryta trawami i buszem. Miejscami trochę ciemniejsze łachy drzew zlewają się w jeden kolor mławo brązowy. Naokoło góry. Jedne niższe, drugie wysokie; niektóre wydają się olbrzymie. Wszystko to drżące wulkany, które nie tak stosunkowo jeszcze dawno ziały ogniem i wyrzucały z ogromną siłą rozpalone kamienie i gorącą lawę. Widać Suswę, Longonot, a dalej ku zachodowi rozległe pasmo górskie Mau. Na południu, ponad pasmami bez nazwy, rysują się lekko wysokie szczyty Ndasekera i Ngorongoro. Nad tym wszystkim płynie spokojnie rozżarzone słońce równikowe, rzucając prawie prostopadle swe zabójcze promienie. Wszędzie panuje cisza; śmiertelne milczenie.

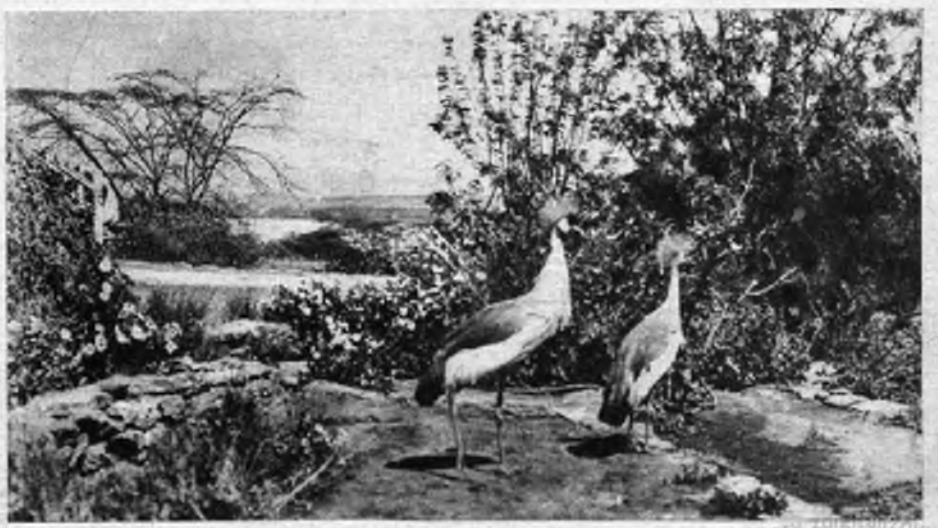
Po godzinnej, ciężkiej wędrówce po trawach i ścieżkach, wydeptanych przez dzikie zwierzęta i bydło Masajów, schodzimy w dolinę. Chłopcom rzadnie trochę mija. Zachęcam ich jak mogę do dalszej wędrówki. Przyznają się w duchu, że nie bardzo-chciałbym spotkać się z lwami. Jestem bezbronny, a w dodatku z dwoma dziećmi. W dolinie duszno. Odpoczywamy często, wykorzystując każdy, najmniejszy cień. Posuwamy się powoli i dochodzimy do kępy drzew, zwanych przez krajowców: Mgunga. Są to wysokie akacje afrykańskie, oznaczające się zielono-żółtawą ko-

lą i długimi kolcami. Wyglądają jak olbrzymie, rozpięte parasole. Pomiedzy drzewami stoją spokojnie jakieś potwory z wyciągniętymi długimi szyjami. Chłopcy, którzy je zauważyli, ozywają się. Staramy się podejść jak najciszej, ale płochliwe żyraty zwierzęły nas i umykają, kołyszac się na długich nogach.

Teren wznosi się i jest zalesiony z rzadka pospolitą Mulaa (acacia stenocarpa). Na prawo i lewo stada dzikiej zwierzyny. Pasiaste zebry mieszają się z antylopami, duże elandy z dik-dikami, a między tym wszystkim stada małych gazeli Thompsona. Wszystko to na widok trzech „ludzkich potworów” zmyka, gdzie się da. Ale oto i ślad króla zwierząt: świeżo rozdarta zebra. Sam sprawca tego zabójstwa odpoczywa gdzieś, ukryty w wysokich trawach.



Zaprzęg afrykański ↑



Oswojane żurawie Kavirondo

Opuszczamy królestwo zwierząt, idziemy dalej. Jesteśmy okrutnie spragnieni. Od kilku godzin nie mieliśmy w ustach kropli wody. Języki poprzysychały nam do podniebienia, a w wyschniętych gardłach odczuwany ostry ból. Chłopcy już ledwo włożą nogami. Ambitny John zaciska usta i stara się dotrzymać mi kroku, Henry ociąga się i pozostaje w tyle. Ale i John ma już wszystkiego dość, w oczach pokazują się łzy.

— John — pytam — co się z tobą dzieje? — Duda — mruży przez łzy biedny chłopczyna — ja już nie mogę iść dalej.

Widzę, że przeliczyłem się z siłami chłopaków. Trzeba ratować sytuację.

— Słuchajcie chłopcy — powiedziałam — do obozu już niedaleko, nie więcej, jak pół godziny drogi, bądźcie cierpliwi. Zabiorę was na plecy, najpierw ciebie John, a potem Henry'ego.

Podnoszę Johna i biorę go „na barana”. Kiedyś podchodzili do obozu użyszczeni głosem nawoływania.

Maggie tylko dziwiła się, dlaczego Duda w ciągu tych kilku godzin tak strasznie podrosł?

VICTORIA NYANZA

Kendu Bey leży na południowym brzegu zatoki Kavirondo. Udam się tam z Kisumu motorówką Sasa-Hiwi. Na przystani ścisk, pełno krajowców: Hindusów i białych. Z Europejczyków najwięcej żołnierzy-marynarzy. Jadą do Kisii na urlop. Do Kisii jedzie również miss Annie, sympatyczna nauczycielka z Nakuru. Miss Annie denerwuje się. Drażni ją zapach krajowców i podnieca gorąco. Po targach i hałasach odpływamy wreszcie z godzinny prawie opóźnieniem. Oddajemy od mola i wypływamy na jezioro. Naokoło nas pływają lilie wodne, a z wo-



Murzynka ze szczepu Lumbwa



Zyrafa



Krokodyl z jeziora Victoria



Nad Athi River

dy co chwila wyskakują duże ryby. Oko spoczywa na przepysznej zieleni, która ze wszystkich stron otacza jezioro.

Po blisko dwóch godzinach zbliżamy się do Kendu Bey. Jezioro staje się płytsze i porośnięte sitowiem i papyrusami. Tuż przy brzegu jakieś wysokie rośliny pokryte dużymi, białymi kwiatami. Podpływamy bliżej — pokazuje się, że to nie kwiaty, ale gromady białych kormoranów, które poobsiadały papyrusy, robiąc z daleka wrażenie kwiatów. Wysiadam i kieruję się w uliczkę zabudowaną dwoma rzędami drewnianych domków. To duka (sklepy) hinduskie. Na końcu ulicy, pod rozłożystym drzewem Mukhulu, jarmark murzyński. Hałaśliwy tłum sprzedaje i kupuje ryby, owoce i jarzyny.

Okolice Kendu Bey jest zielona, bagnistą i niezdrowa. Liczne bagna są siedliskiem malarii i żółtej febry. Brzegi, które posiadają żyzną ziemię, są gęsto zamieszkane przez szczep Luo, trudniący się rybołówstwem. Okrągłe domki królów murzyńskich otoczone zielonym, wysokim Odzuok (gatunek Euforbii), która służy jako ochrona przed nieproszonymi gośćmi zwierzęcymi i ludzkimi.

Po krótkim pobycie w Kendu Bey

płynę z powrotem do Kisumu. Tam w misji katolickiej w Kibuyu czeka na mnie ojciec Leahy, bardzo miły Irlandczyk, który sprawuje urząd starszego misji.

Po podwieczorku, jedziemy autem w towarzystwie dwóch innych misjonarzy, Holendra i Irlandczyka, oglądać „Hipy” i „Kroki”. Jedziemy Victoria Road, szeroką asfaltową aleją, wysadzaną po obu stronach drzewami. Przejeżdżamy przez Kisumu i dojechawszy do brzegu jeziora pozostawiamy auto na drodze i dalej już idziemy pieszo. Jesteśmy na brzegu Victorii. Słońce rzuca ostatnie swe promienie na wodę jeziora. Wspaniały widok. Z daleka nadciąga burza. Gęste, czarne chmury gotują się do ataku na jezioro. Tuż na skraju tej czerni fantazycznie kolorowa tęcza.

Jezioro nie zwraca wcale uwagi na chmury. Jakiś potężny krokodyl ćwiczy się w pływaniu, a tuż obok pluskają się hipopotamy. W oddali wykrzykują swoje „kaw-umm” żurawie Kavirondo. Stoimy długo i zachwycamy się jeziorem Victoria.

Kiedy ruszamy z powrotem, nad zatoką Kavirondo panuje już zupełna ciemność, a na niebie, pomiędzy chmurami, pokazał się jaśniejący pięknie Krzyż Południa.

Michał Duda-Morona

Wieki mówią

Podczas swej ofensywy letniej, wojska sojusznicze we Włoszech oswobodziły szereg miast, których nazwy zajmują pierwsze miejsca w światowych wydawnictwach artystycznych i podręcznikach historii i sztuki, a które znaczone są gwiazdkami we wszystkich Beadekerach i „Guides Bleus”. Miasta te, opiewane przez niezliczonych poetów i prozaików i malowane przez największych przedstawicieli sztuki plastycznych, stanowiły od wieków nie tylko ośrodki turystyczne, lecz również centra naukowe i artystyczne o ogromnym znaczeniu.

Kiedy suche komunikaty wojenne

mówiły o zbliżaniu się operacji wojennych do miast takich, jak Rzym, Orvieto, Perugia lub Siena, wyrastało pytanie: — czy nie ulegną one zniszczeniu, one i zawarte w nich skarby?

I oto stała się rzecz dziwna. Wojna zmechanizowana, wojna współczesna jakby zawahała się i zatrzymała przed majestatem tych miast, z których mówiły wieki. Jakby urzekł ją czar, płynący z cudownych kościołów i pałaców, obrazów i rzeźb... Rzym, Orvieto, Perugia, Assyż, Siena są nieknięte. Wszystkie ich skarby ocalały i będą nadal cieszyć oczy przyszłych pokoleń, kształcić, wzruszać i uszlachetniać.



Assyż — Fragment kościoła św. Ruffina

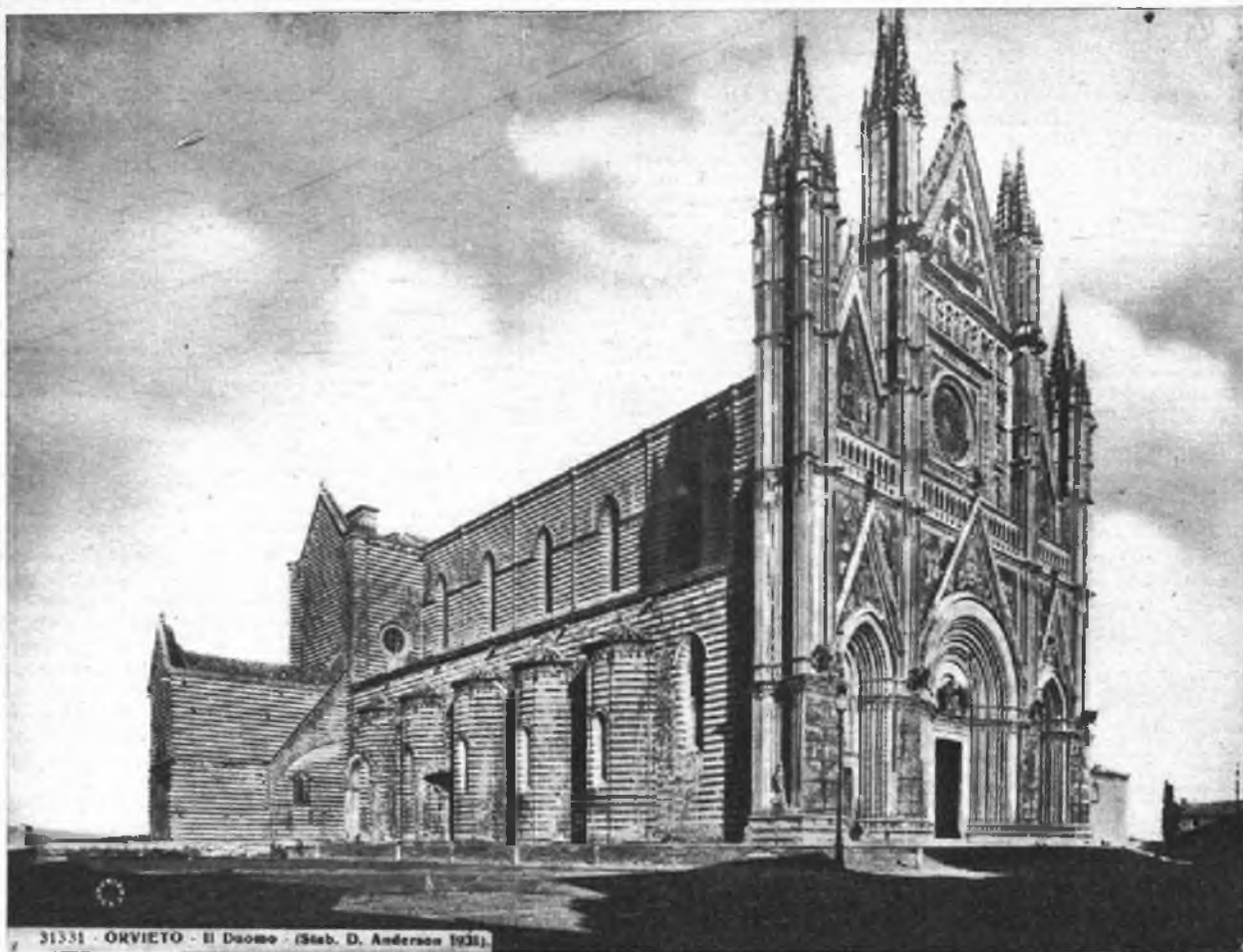
↓ Assyż — Widok ogólny



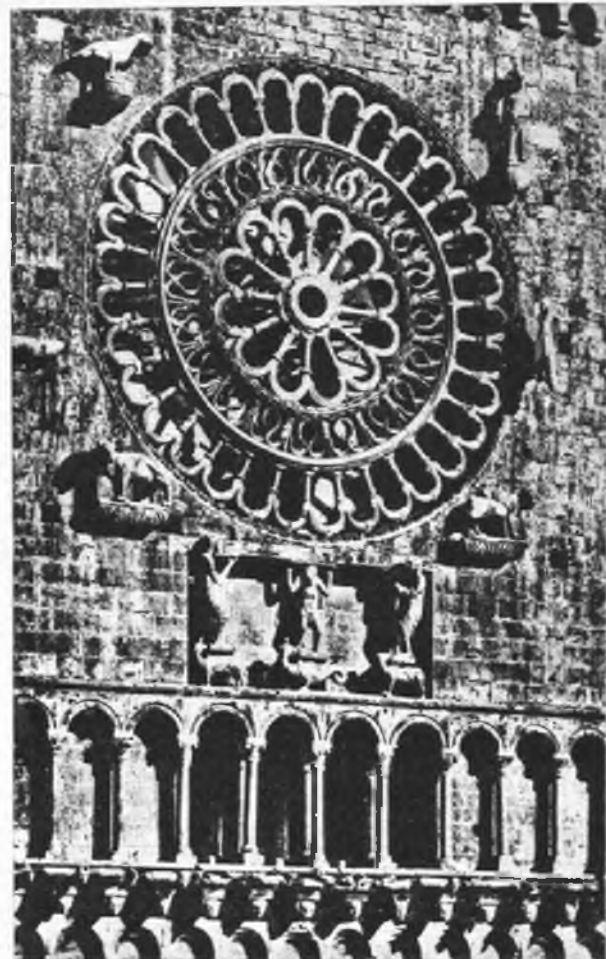
Perugia — Krużganek starego cmentarza

Najbardziej może zdumiewającym jest cudowne ocalenie Orvieto. To wspaniałe miasto, jakby zaklęte w dawności, to muzeum zanierających wieków, położone jest na wysokim wzniesieniu. Na dole, dokoła stacji kolejowej, wyrosta z biegiem lat nowa, współczesna dzielnica. Z tej nowej części miasta nie pozostało nic, prócz gruzów. Rozwalona jest stacja kolejowa, porwane tory i mosty, rozbite wszystkie domy. Natomiast na górze, w starym Orvieto, nie znać najmniejszych nawet uszkodzeń. Na placu katedralnym, jak dawniej, ośniewa słynna katedra, jedna z najpiękniejszych we Włoszech. Pochodzi ona z XIII wieku. Gotyckie linie jej frontonu i wież są niewypowiedzianie piękne. Barwne mozaiki zewnętrzne zachwycają oczy widza. Są to prawdziwe arcydzieła. Na lewo od katedry oryginalny, stary zegar wydzwania godziny. Herkules z brązu wali młotem w wielki dzwon. Dźwięk tego dzwonu jest jasny i melodyjny. Naprzeciw katedry stoi renesansowy pałac biskupi. Wszystko tonie w ciszy i łagodnych promieniach zachodzącego słońca.

Nie inaczej jest z Perugią. I tutaj także, jak we wszystkich niemal miastach włoskich, stara, przepiękna architektonicznie część miasta, rozmieszczona jest na górze, podczas gdy na dole powstały nowe dzielnice. I one są również zniszczone, nie tyle może, co w



Orvieto — Katedra



Assyż — Fragment kościoła św. Rufina

Orvieto, lecz w każdym razie dość dokładnie. Na górze, pomimo parodniowych, ciężkich walk, jakie musiano stoczyć o posiadanie miasta, absolutnie nic nie ucierpiało. XIV-wiekowy gród stoi w całym swym pięknie i majestacie. Nietknięty, panuje nad miastem wspaniały gmach „Municipio”, klejnot architektury wczesno-gotyckiej. Nie uszkodzona jest katedra San Lorenzo, ani cenny zabytek epoki etruskiej, łuk Augusta. Drzemią spowite w ciszy uliczki z ich zabytkowymi mostkami, przetrzaskanymi między górnymi piętrami wąskich i wysokich domów. Nie ma w nich śladu współczesności, ani cienia dnia dzisiejszego.

Gdy podjeżdża się do Assyżu, jeszcze na parę kilometrów przed miastem widać rozwalone domy oraz szczątki zniszczonych samochodów i dział niemieckich. W samym jednak grodzie św. Franciszka zapomina się od razu o wojnie. W blasku słonecznym tonie arkadowy dziedziniec klasztoru świętego Biedaka. Mistycznym lektem napętniają duszę stare malowidła Giotto, Cimabue i Lorenzettiego w niskim, sklepionym kościele Franciszkanów. Stare, urocze uliczki Assyżu toną w powodzi kwiatów i zieleń, tak pięknych i pachnących, jak chyba w żadnym innym mieście Włoch.

Siena... Trzeba ją znać, by zdać sobie sprawę, czym jest to miasto dla Włoch i kultury ogólnoludzkiej. Wywierało ono w ciągu wieków swój wpływ przemożny na sztukę włoską i sztukę całej w ogóle Europy. Szkoła malarstwa Sieny osiągnęła wszechświatową sławę i wydała wielu pierwszorzędných mistrzów. Jej uniwersytety i biblioteki promieniowały na całą Europę czasu Odrodzenia, a samych bibliotek posiadała Siena w XV wieku około dwadzieścia.

Nietknięte przez wojnę stoją kamienne cuda. Ocalał przepiękny Palazzo Pubblico, klejnot Piazza del Campo i Palazzo Spannocchi z pierwszego okresu Odrodzenia, i cudna Torre del Mangia ze swym kamiennym kołosem, wybijającym godzinę na fantazyjnym zegarze, i katedra, ze swym frontonem, pokrytym płytami z trójbarwnego mar-

Kwiaty pachną w Assyżu



Orvieto — Katedra — płaskorzeźba przedstawiająca piekło

muru i uwieńczonym nieprawdopodobnie finezyjną koronką z rzeźb.

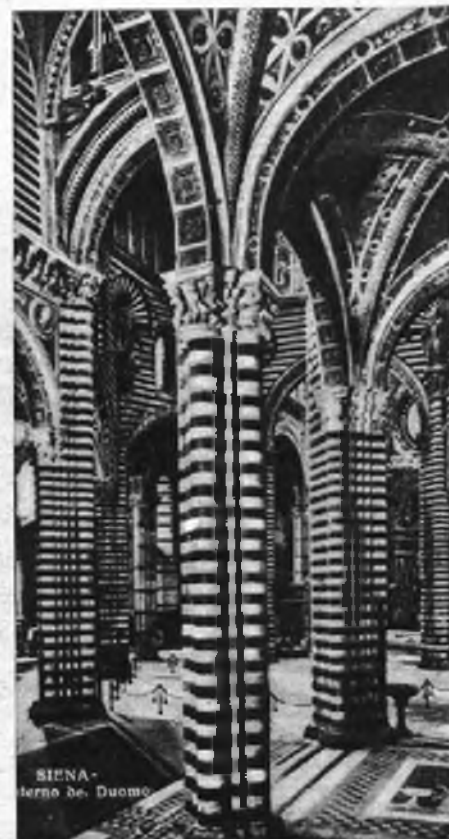
Dobrze jest czasem, gdy dokuczy wojna, pobłądzić po starych, pachnących pleśnią wieków, ulicach, po kościołach i pałacach takich miast, jak Orvieto, Perugia, Assyż lub Siena... Obcowanie z przeszłością, zakletą w takich pomnikach, daje wiele: uczy przyszłości, kształci umysły i dusze, zanurzając je w atmosferze najczystszej piękna. Czyni człowieka lepszym i szlachetniejszym.

Roman Fajans

Siena — Loggia kupiecka



Siena — Wnętrze katedry





Ofiar polowy — tryptyk junackiej szkoły łączności, zaprojektowany i wykuty w metalu przez art. malarza E. Matuszczyka



OD GUZIKA DO SZAKALA

Upały panujące „gdzieś w Palestynie” są tak dotkliwe, że nawet odwiedzający stale Archiwum-Muzeum APW kameleoni często przerywa swe polowanie na muchy i zieleń, by upodobnić się barwą do leżących na stole książek, po czym zastyga w bezruchu. Tylko pracownicy Archiwum-Muzeum nie przerywają swej roboty. Kierownik Muzeum por. D. z zapalem czyści przeróżne znaczki i guziki zarówno armij, nieprzyjacielskich, jak i sprzymierzonych, wśród których są też i odznaki ofiarowane przez p. Dudkę, Polaka z armii amerykańskiej. Artysta malarz W. W., by nie wyjść z sprawy, macha wciąż pędzlem, znacząc skrzynie

pełne przeróżnych skarbów, których pochodzenie jest bardzo różnorodne. Większość eksponatów to dary, część została zakupiona, reszta zdobyta we własnym zakresie. Pewnego razu nasi panowie zobaczyli w sklepie kairskim hełm południowo-afrykański, którego muzeum nie posiadało. Właściciel magazynu nie mógł go sprzedać, gdyż hełm ten pozostawił u niego jeden z żołnierzy Unii Południowo-Afrykańskiej. Po długiej rozmowie kupiec hełm oddał za powitowanie następującej treści: „Kwituję odbiór hełmu południowo-afrykańskiego, nieznanego ofiarodawcy dla Muzeum Wojska Polskiego. Jeżeli

prawowitemu właścicielowi hełm będzie potrzebny, zechce mnie zawiadomić, a ja zobowiązuję się go natychmiast odebrać...”. Nikt się dotychczas o hełm nie upomniał, natomiast otrzymaliśmy ich tak dużo, że wkrótce będziemy mogli wyekwi-pować nimi chyba batalion wojska. W sąsiedniej sali-szopie mieści się dział przyrodniczy, mający już parę tysięcy cennych okazów. Króluje tam kapral S., który ciągle coś łapie i preparuje. Nawet wieczorem nie można spokojnie grać w brydża, tak gryzą komary, dla przynęty bowiem wiesz się olbrzymią, jasną lampę. W czasie najciekawszej rozgrywki kapral S. chwytając nad głową rozognionego gracza „latającą pluskwę”, którą niezwłocznie pakuje do śmiercionośnej probówki. Z kapralem S. współpracują nasi malcy z sąsiedniego klasztoru, w którym mieszkają uchodźcy. Cała czeredka, bardzo grzeczna, jest naszymi stałymi gośćmi. Nawet w czasie obiadu odwiedzają oni Muzeum, oznajmiając głośno:

„Proszę pana — mamy dla pana robaka”. Przyrodnikowi nie odbiera to apetytu, ale przerywa obiad, by oglądać przyniesione skarby. Ośmioletni Staś ze Zdobnowa, przyniósł zdechłą mysz, Józia węża i pięknego srebrnego pajaka. Zdechła mysz idzie też do specjalnego stoika. Trochę mnie to zdziwiło, ale zrozumiałem później, widząc nieocenione skutki tych dyplomatycznych posunięć. Następnym razem malcy kontrolowali, co się stało z ich darami: „Proszę pana — gdzie jest ta mysz, co ją przyniosłem?” — pyta mały Staś. Mysz w stoiku z formaliną sprawia wielką przyjemność ofiarodawcy, toteż z kawałka gazety wydobył on z triumfem małego żółwia.

Program wizyt jest zawsze ten sam: po oglądnięciu przyniesionych dawniej darów i złożeniu nowych, następuje oglądanie fotografii oraz zabawa afrykańskimi oszczepami i przymierzanie pięknego złocistego hełmu. Chłopcy w sposób delikatny wspomnieli, że chętnie zabawiliby się oszczepami i szablami w ogrodzie z innymi dziećmi. Niestety — nie mogliśmy zadość uczynić ich prośbie, i wypożyczyć cenne eksponaty, ale wzmianka kapral S. zrobił im piękne dzidy. Jedne z nich miały złote ostrza (z pudełek od sardynek), inne zaś wykonane z puszek od mleka, zdawały się być pokryte patyną wieków. Zabawa była wspaniała, mimo że: „ostrza nie przebijały, a nawet gięły się przy uderzeniu o drzewo”.

Przed paru dniami przeżyliśmy nie-lada sensację. Chłopcy przyniesli nam prawdziwego szakala. Widok ciągnionego na pasku od spodni dzikusa w otoczeniu mnóstwa dzieci i setki wrzeszczących Arabów, był rzeczywiście niesamo-

wity. Ofiarodawcy szakala byli niezwykle dumni! Cóż powiedzą chłopcy, którzy przynoszą żaby (też bardzo potrzebne), gdy zobaczą prawdziwego dzikusa. „Jeniec” został wpuszczony do skrzyni, a na straży ulokowała się nasza psina Żabusi z córeczką, które okazały żywe zaniepokojenie na widok nowego przybysza Szakala — jak zawsze robią to jego współplemieńcy — odmówił wszelkiego jadła i rozpoczął demonstracyjną głodówkę. Jasnym się stało, że dui jego, a nawet godziny są policzone. Szakal z wielką przyjemnością wachał podawane mu narkotyki, ale wcale nie zamierzał zdychać. Po paru godzinach takich prób, kapral S. chodząc już mocno zamroczony, a pacjent czuł się doskonale. Wreszcie wieczorem zwierzę zdechło.

Na drugi dzień szakal był już pięknie wypchany i wzbudzał podziw Zygmunta, Józia i Stasia, którzy właśnie zjawili się z wizytą. Zygmunt przyniósł parę ptaków zastrzelonych z procy, którą przechowuje w kąpielówkach stanowiących jedyny jego ubiór: ma on lat 8 i bardzo chciałby mieć włoski karabin, który podobno jest tak mały, że mógłby z niego doskonale strzelać. Staś stale dopytuje się, czy mamy pamiątki z pod Cassino: „tam pewno dużo nazbierali” — wtrąca Józia. Tymczasem im, że wszelkie dokumenty i pamiątki napewno wkrótce otrzymamy, gdyż tylko Archiwum-Muzeum ma prawo je kompletować i że nikt nie może zatrzymywać zdobytych przedmiotów, gdyż inaczej odpowiadałby sądowi.

Chłopcy doskonale odróżniają eksponaty przywiezione z Rosji. Józia, który był z rodzicami na „zsyłce” od razu poznał sowieckie buty o gumowych podszewach i płóciennych cholewach. Dzieci, na szczęście, nie lubią mówić o swych przeżyciach w Rosji. Polując na kraby i meduzy nad brzegami pięknego morza, przyszli sławni przyrodnicy zapominają prędko o koszmarniej niedawnej przeszłości.

Stanisław Janicki

Nakładem Oddz. Prop. i Kult. D-twa APW

UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS W DRUKU NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

- 1) **Dziejowa idea Państwa Polskiego**, Jan Szułdrzyński. Jerozolima 1943 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 200 milsów.
- 2) **Kampania Wrześniowa 1939 roku w Polsce**, ppłk. dypl. Henryk Piątkowski. Jerozolima 1943 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 30 milsów.
- 3) **Rok 1863**, Józef Piłsudski. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 50 milsów.
- 4) **Z doświadczeń przeszłości**, Julian Łukasiewicz. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 20 milsów.
- 5) **Obrona Lwowa w roku 1939**, Kazimierz Ryś. Palestyna 1943 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 50 milsów.
- 6) **Geopolityka, strategia i granice**, Ryszard Wraga. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 30 milsów.
- 7) **The Curzon Line**, Adam Pragier. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego.
- 8) **Wrześniowym Szlakiem**, Jerzy Łuzyc. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 190 milsów.
- 9) **Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem. Część I** Polskim Szlakiem. Oprac. Dr J. Piłatowa i W. Zahorski. Palestyna 1943 r. Cena 120 milsów.
- 10) **Polskim Szlakiem. Część II — Na Ojczyźnie** ziemi. Oprac. Dr J. Piłatowa. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 220 milsów.
- 11) **Polskim Szlakiem. Część III — Dojdziemy**. Oprac. Dr J. Piłatowa. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego. Cena 350 milsów.
- 12) **Molitownik dla greko-katolików**, Jeruszałym 1944.
- 13) **Azja i Afryka — Antologia poezji polskiej na Środkowym Wschodzie**. Oprac. Jan Bielatowicz. Palestyna 1944 r. Biblioteka Orła Białego.
- 14) **W Laboratorium radości życia — Zarys higieny psychicznej z uwzględnieniem środowiska wojskowego**, Wiktor Szyryński st. asystent kliniki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Palestyna 1944 r.
- 15) **Album pamiątkowy z pobytu Naczelnego Wodza Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego na Środkowym Wschodzie**. Tłoczono w drukarni polowej APW. Grudzień 1943 r. Nakładem „Dziennika Żołnierza APW”. Cena 100 milsów.

- Str. 3: fot. T. Szumański
Str. 5: fot. Romanowski
Str. 5 i 6: fot. Chrusciel
Str. 6: fot. F. Malinlak
Str. 7: fot. U. S. Office of War Information, British Ministry of Information
Str. 10: fot. Pułk Ułanów Karpaccich
Str. 14: fot. Mary Mollo
Str. 15: fot. R. Wyndham

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

T A Ń C E P O L S K I E C E D R A M I L I B A N U



Rysował Serek

W takich warunkach lekcje angielskiego są przyjemnością



Kadeci pełnią wartę



Zaimprovizowana rewla



W cieniu cedrów



Para za parą...

Korespondent angielski o młodszych ochotniczkach

T. S. — polska komendantka obozu powiedziała: „Proszę wyrazić naszą wdzięczność władzom brytyjskim za wielkie staranie, aby dziewczynki polskie czuły się szczęśliwe. Miały one teraz pierwszy od początku wojny wypoczynek. W 1940 roku były wywiezione z Polski do Rosji. Jest to młodość, która nigdy nie zaznała prawdziwej młodości”.

W tym jednak obozie były naprawdę szczęśliwe, i dzisiaj patrząc na tych sześćset dziewcząt trudno wprost uwierzyć, że młodość ich odbiegła tak bardzo od normalnego życia. Trzy lata temu przybyły razem z Armią Polską z Rosji na Środkowy Wschód, niektóre z rodzicami, służącymi w wojsku polskim, wiele całkowicie osieroconych. Wojna przerwała im naukę szkolną na różnych poziomach — szkoły powszechnej lub gimnazjum. W Teheranie Armia Polska przy pomocy brytyjskich władz utworzyła pierwsze szkoły. Najmłodsi zostali wysłani do Kenii, reszta — kilka tysięcy dziewcząt i chłopców — jako przyszła rezerwa armii weszła w skład szkół młodszych ochotniczek i junaków. Cho-

dziło o połączenie wykształcenia szkolnego z przysposobieniem wojskowym oraz o wytworzenie w tej młodzieży ducha zbiorowego.

Start wydawał się beznadziejnym: w namiotach, bez książek i pomocy szkolnych, bez nauczycieli. Stopniowo wszystko się ułożyło. Armia Polska przydzieliła nauczycieli, znalazły się też książki, przedrukowywane dzięki pomocy brytyjskiej. Dzisiaj już młodzież mieszka czysto i wygodnie w Palestynie i Egipcie, a uczy się w szkołach, odpowiadających najlepszym wzorom, uczy się bardzo intensywnie, przerabiając dwa lata szkolne w jednym.

W warunkach takiej pracy niezbędny jest całkowity wypoczynek wakacyjny. Umożliwiły go brytyjskie władze wojskowe, stawiając do dyspozycji najpierw młodszych ochotniczek, a potem junaków szkolny oboz narciarski, w górach Libanu. Zrobione przeze mnie zdjęcia tych uczących się dziewcząt dają nie tylko pewien obraz bez troski ich trzytygodniowych wakacji, ale uwieczniają również rzecz dotychczas chyba bez precedensu: polskie tańce w strojach narodowych pod cedrami Libanu.

R. Wyndham

Nad basenem kąpielowym



Mózgaiki pozostaną tu na pamiątkę ↓



Tańczą też fox-trotta





Dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej – pomnik Kopernika BW